

2.006.115.

NA PAŃSKIM DWORZE

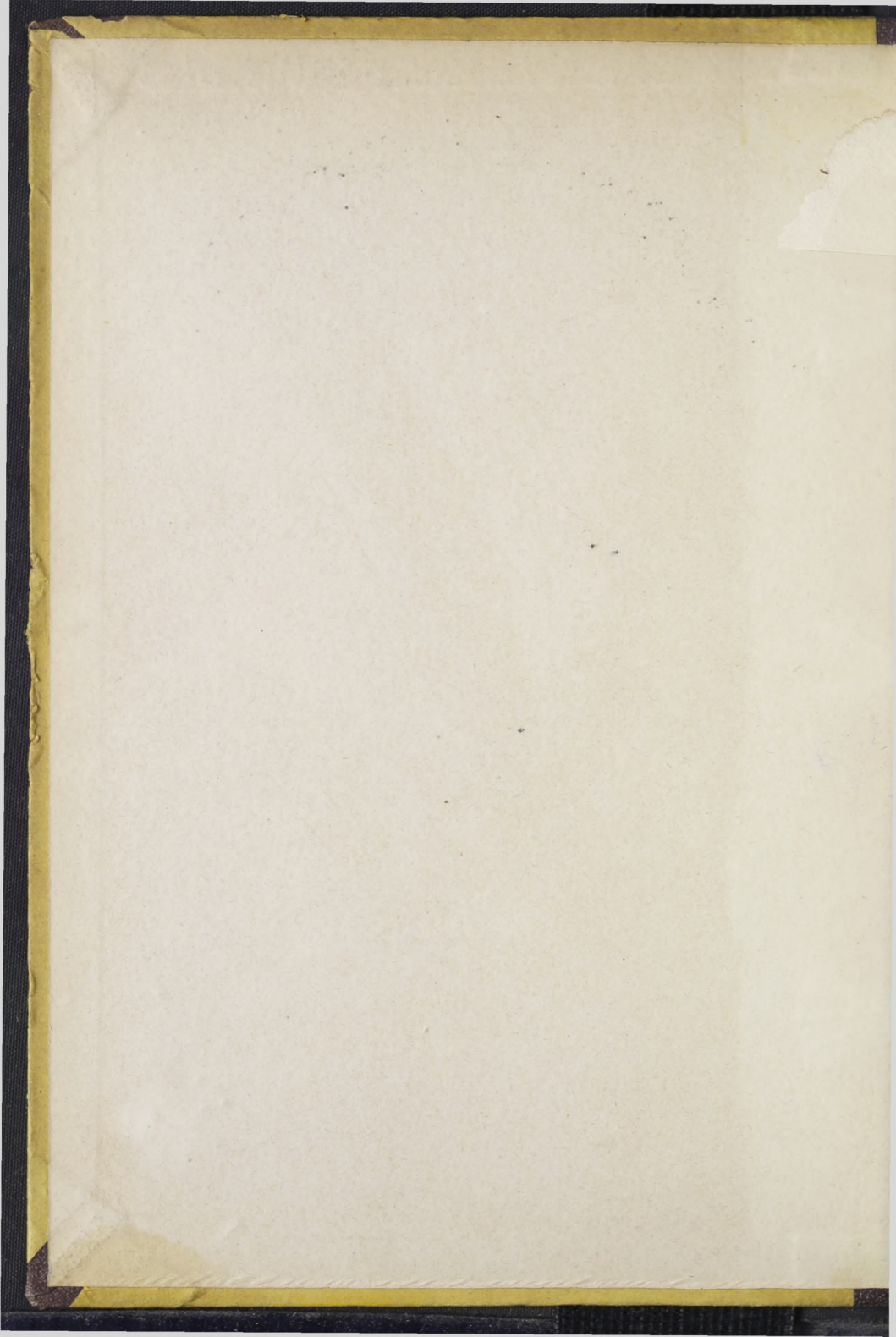
przez

ADOLFA PYGASIŃSKIEGO.

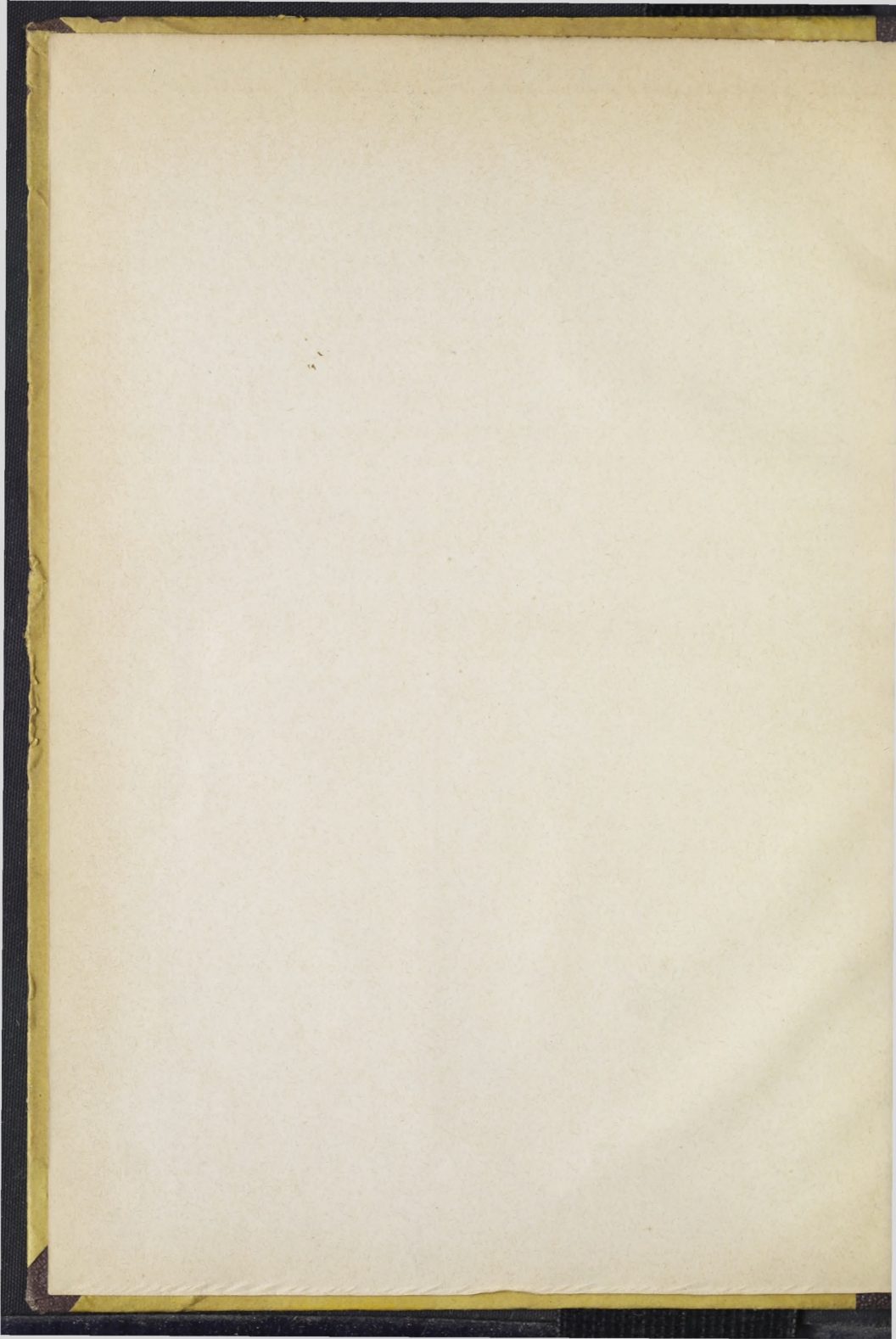


WARSZAWA.
W Drukarni „Gazety Handlowej”,
ulica Mazowiecka № 6.

—
1884.



26376



~~26376~~

58

530

NA PAŃSKIM DWORZE.

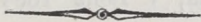
W PAŃSKIM DWORZE

Wydanie 1884

NA PAŃSKIM DWORZE

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.



WARSZAWA.

W DRUKARNI „GAZETY HANDLOWEJ,”
ulica Mazowiecka № 6.

—
1884.

26376

Дозволено Цензурою,
Варшава, 7 Июня 1884 года.



I 2.006.115



WARSAWA
W DRUKARNI DZIEDYCY I WILKOWSKICH
ul. Miodowa 20

38326

I.

DOSYĆ NIEWYRAŹNY RODOWÓD DZIECKA.

Pięknym był dwór, albo jak go nazywano — pałac w Pałkach. Domy takie i tak urządzone na wsi posiadać mogą tylko wielcy panowie.

Uczuwając brak zarówno pojęć jak i terminów architektonicznych, powstrzymuję się tu od opisu owego dworu w obawie abym nie ubliżył szlachetnemu budynkowi.

Pałki były jedną ze wspaniałych książęcych rezydencji rodu Zbrojomirskich, a drogą posagu dostały się w posiadanie hrabiego Alberta Lutowojskiego, ożenionego z siedemnastoletnią księżniczką Olimpią Zbrojomirską, której znowu brat August zaślubił siostrę Alberta, hrabiankę Ewę Lutowojską. Dwa te możne rody, łącząc się tak między sobą małżeństwem, wymieniały tylko swoje wielkie fortuny, starając się, aby w ten sposób przynajmniej przechować spuściznę dziadów, jeżeli się jej nie da jeszcze powiększyć. W tym celu pomiędzy rodzicami miał być miejsce wczesny już układ, kiedy mianowicie dzieci ich zaledwie że wyszły z pieluch.

Musimy atoli wyznać, iż te dwie pary małżeństw nie były szczęśliwemi w rodzinnem pożyciu: Ale ponieważ opo-

wiadanie nasze dotyczy wyłącznie dworu Pałecckiego, przeto poświęcimy tu parę słów jego dziedzicom.

Księżniczka Olimpia nie była uderzającą pięknnością, lecz rysy jej twarzy miały wyraz tak miły i sympatyczny, iż jednała sobie ona ludzi wtedy nawet, kiedy im tylko rozkazywała. Rzekłbyś, że u tej kobiety piękno organizmu cielesnego utraciło wyrazistość swoje, ażeby tym kosztem właśnie uwydatnić zewnętrznie bogaty psychiczny rozwój. Są fizyognomie, o których z pierwszego już wejrzenia powiedzieć można, że wyraz wszelkich, grubych, brutalnych uczuć wcale im nie przystoi i jest dla nich zupełnie obcy. Takie też wrażenie sprawiała młodzianka mężatka, hrabina Albertowa Lutowska, wysmukła blondynka o ciemnych oczach, ciemnych brwiach, małych usteczkach, a ubarwiona na licu tą cerą brązu, którą szczęście życia, jakby płomieniem przykрасza, nieczczęście zaś rychło szafranem powleka. Dodajmy do tego wykwintne ruchy damy wielkiego świata, połączone ze świadomością należenia do starożytniej magnackiej rodziny, a będziemy mieli dosyć wierny obrazek pani dziedziczki z Pałek.

Jakże różną była od Olimpji, muzykalna jej towarzysza i przyjaciółka, włoszka rodem, a zwana powszechnie panną Julią. Zbudowana ona była jak posąg greckiej bogini; rysy twarzy miała nadzwyczajnie regularne i wyraziste, a pod pięknymi łukami brwi paliły się oczy tak czarne i tak nawskróś przeszywające widza, o ile tylko oczy kobiety mogą być czarne i przeszywające. Julia nosiła dwa pełne, w tył rzucone i za pas sięgające warkocze włosów kruczych, granatowo się mieniących, a tak pięknych, że ich się żadną ozdobą szpecić nie godziło. Różni książęta i panowie, wielcy znawcy, mawiali, iż Julia jest czarodziejsko piękna. A istotnie pięknym był ten kwiat południowego nieba, w który słońce wlało całą swoją energię ciepła i światła. Wszystkie te skarby wdzięków podnosił jeszcze śpiewny głos, którego

pannie Julii mogłyby pozazdrościć same słowiki. Jeżeli szaleć, to za taką!

To też hrabia Albert Lutowski szalenie, chociaż tajemnie, rozmiłował się w owej muzykalnej towarzysze swojej narzeczonej, a następnie żony. Arystokratyczne stadła spędzają miodowe miesiące we Włoszech, Szwajcaryi, Paryżu, Londynie, lub w ogóle za granicą. Gdzie im się podoba. Więc i hrabstwo Lutowski z licznym dworem przez pół roku blisko podróżowali po świecie. Potem wrócili do Pałek, gdzie na ich przybycie oczekiwała wspaniale przygotowana rezydencya, o jakiej zwykły człowiek we śnie tylko marzyć może.

Jednakże ani pierwsze miesiące miodowe, ani późniejsze małżeńskie pożycie, mniej już miodowe, nie uśmiechały się do hrabiny Lutowskiej. Nie mogła ująć jej oka wzrastająca coraz namiętniej miłość męża dla Julii. Wcześniej już poznała ona tę gorzką dla siebie prawdę i postanowiła za jakąbądź cenę pozbyć się z domu rywalki. Łatwem to nie było. Wobec tego jej postanowienia dopiero uwydatnił się aż nadto wyraźnie lekki charakter Alberta oraz zupełny brak nietylko przywiązania, ale i szacunku dla żony.

Skoro atoli Olimpia została matką i powiła syna, zdawało się, że odtąd w imię swego macierzyństwa będzie już panią położenia i wywrze stanowczy wpływ na męża. Tymczasem tryumf, odniesiony nad Julją, był tylko pozorny. Włoszka opuściła wprawdzie Pałki; lecz wkrótce potem i hrabia Lutowski, zatęskniwszy widać za jej ognistemi spojrzeniami, wyjechał także za granicę. Wypadki te w owe czasy nie były obce nikomu, kto miał zaszczyt i szczęście należeć do wielkiego świata. Hrabia Albert, pan taki dostarczał bogatego materiału do tak zwanego skandalu. Że to wszakże nie był pierwszy hrabia, który się skandalu dopuścił, przeto wielki świat miał dla jego słabości tuż pod ręką współczucie i wyrozumiałość, a nawet danoby mu i rozgrzeszenie najzupełniejsze, byleby zachowywał pozory przyzwoitości, mniej wyraźnie ujawniając stosunki swoje z Julją, a godząc je zre-

cznie z obowiązkami męża Olimpii i ojca maleńkiego hrabiego Zizi. Zdaje się tedy, iż starsze głowy rodzin Zbrojomirskich i Lutowojskich, działając w myśl powyższego kodeksu moralności, umiały nareszcie trafić do zbląkanego serca Alberta; bo ten po roku swej romantycznej tułaczki powrócił do żony i dziecka. Atoli wiemy z różnych dziejowych przykładów, że nie tylko może mąż odjechać od żony, lecz także odjeżdżają żony od mężów, Mianowicie też hrabia Albert po powrocie do domu stał się tak cierpkim, zgryźliwym a nawet gwałtownym, że znowu interweniowała starszyczna obu spokrewnionych ze sobą rodzin ksiąząt i hrabiów, uznając tą razą, jako niezbędne tymczasowe lekarstwo, usunięcie hrabiny Lutowojskiej ze synem od męża. Była to praca rodziców dla przyszłego szczęścia dzieci, bo —

— Albert ma brylantowe serce. Mawiała stara hrabina Lutowojska.

— Ale przecież młodość wyszumieć musi!

Wyjechała zatem hrabina Olimpia za granicę pod pozorem kuracyi. Coby arystokracja polska robiła, gdyby nie było zagranicy?.. W Pałkach pozostał samotny Albert, znużony, zły na cały świat, a przytem i chory. Hrabia zamykał się w swoim gabinecie po całych dniach, nie przyjmując nikogo, prócz starego kamerdynera Marcina. Opowiadano mi, że jedynym człowiekiem, mającym wpływ na dziką nie dającą się nikomu poskromić naturę Alberta; był ksiądz Rodowicz, kanonik z Rzepacznicy, były nauczyciel hrabiego. Podobno on jeden dawał bardzo surowe nauki swemu eks-wychowawcowi, a nauki te nietylko przyjmowano cierpliwie, ale się do nich stosowano. Zresztą, choć grubszą tajemnicą obleczony jest ten samotny, rok prawie trwający żywot burzliwego pana na Pałkach, postaramy się przynajmniej w małej części uchylić ciemną zasłonę.

Mianowicie też dla opowiadania naszego wielkie znaczenie ma następujący wypadek, który się zdarzył w Pałkach w czasie nieobecności hrabiny Lutowojskiej. Jednej

ciemnej nocy, gdy już wszyscy zasypiali w najlepsze, oprócz hrabiego w gabinecie i kamerdynera w przedpokoju, zabrzmiała trąbka pocztowa przed bramą pałacu i na dziedziniec dworski wtoczył się zakryty powóz. Z powozu wysiadła jakaś dama szczelnie otulona, opięta i tak zawoalowana, że nie można było dojrzeć rysów jej twarzy. Gdy się zaś do niej zbliżył kamerdyner Marcin, oddała mu do ręki list i koszyk z zaleceniem natarczywem, aby to wszystko natychmiast, bez jednej chwili zwłoki wręczono hrabiemu. Poczem dama owa wsiadła do powozu i zniknęła tak szybko, że stary Marcin nie zdołał się pomiarkować, gdzie i kiedy.

Hrabia jeszcze nie odczytał całego listu, gdy w koszyku zapłakało dziecko. Wtedy zbladł strasznie, upuścił papier na ziemię, oczy mu się zaiskrzyły, wargi drgały i porwał za leżący na stole turecki pistolet. Kamerdyner widać wiedział, co to znaczy, bo padł na kolana i, wyciągając błagalnie ręce, wołał:

— Panie hrabio!... Pamiętaj, że żaden Lutowski nie był zbójcą!

Hrabia Albert wypalił w sufit i padł na krzesło, mrucząc ponuro:

— Weź mi z oczu to szczenię!... Utop lub uduś tego bękarta!... Podła!...

A przytem wymówił jeszcze z przyciskiem wyraz obelżywy, którego należy oszczędzić każdej kobiecie.

Marcin czempredzej pochwycił koszyk z dzieckiem, które jeszcze tej samej nocy wyniósł na wieś między baby.

Odtąd historia nasza będzie wyraźniejszą. Początek wszelki leży w mgle mitów. I nasza powieść jest jedną z tych jakie znamy w dziejach Persów, Żydów, Rzymu i t. d., a które się odnoszą do przyścia na świat Cyrusa, Mojżesza lub Romulusa. Wszyscy ci sławni ludzie byli rezultatami stosunków miłosnych, niekoniecznie do gustu trafiających innym ludziom.

Bardzo być może, choć nie mamy dowodu, absolutnej

pewności, iż znalezione w koszyku dziecię płci męskiej było owocem, jaki spadł z drzewa stosunków hrabiego Alberta, i jego nieslubnej żony, Julii. Przypuszczać też należy, że ostatecznie piękna włoszka musiała zranić miłość własną Lutowskiemu. Może przeniosła nadeń kogoś innego?... Nie wiemy. Dostyc na tem, iż Marcin przyjął ten grzech na siebie. Dobry kamerdyner zawsze tak robi i przeto nazywa się go „wiernym sługą.“ Ale że Marcin był starym kawalerem, więc trudno mu było przyznać się do ojcostwa; udał się tedy za wujka dziecka, które oddał najprzód na mamki; potem zaś, gdy już chłopczyna dobrze chodził, wziął go pod swoje osobistą opiekę. Stary nazwał malca Majcherkiem i przywiązał się do niego. Dzieciak przesiadywał głównie w kuchni dworskiej, bawiąc się pod ławą, lub pod stołem.

W niedługim potem czasie hrabia Albert pogodził się z małżonką i był raz jeszcze szczęśliwym ojcem całkiem prawego potomka płci żeńskiej, któremu dano na chrzcie świętym imię Matylda-Zenobia; w stylu zaś rodzinnym maleńką hrabiankę nazywano pieśczonek Mimi i w pieluchach jeszcze zaręczono z nowonarodzonym, jakoś w tej samej porze, maleńkim księciem Tytusem Zbrojomirskim, przezwanym Titi. Ale w trzy lata po przyjściu na świat córki zgasł przedwcześnie hrabia Albert Lutowski; zwłoki jego złożono w Pałkach w rodzinnym grobie książąt Zbrojomirskich, a licznie zgromadzeni na pogrzebie książęta oraz hrabiowie rozczulali się do łez gorących mową pogrzebową, sprowadzonego z Krakowa ad hoc kaznodziei, który dowiódł jak na dłoni, iż zgasły hrabia należał nietylko do najbardziej świętobliwych w całym kraju mężów narodu; ale był też zarazem w całym znaczeniu tego wyrazu wybornym mężem i ojcem rodziny. Płaczu w kościele było dużo.

Pozostała na świecie smutna wdowa, hrabina Olimpia i dwoje małych sierot; pozostał nadto, nieco już nadszarpany ale i tak bardzo wielki jeszcze majątek. Stokroć gorzej atoli jest sierotom-podrzutkom, co nieznały nigdy ojca, ani matki.

Do rzędu takich sierot należał wychowany przy kuchni Majcherek, w którym może i płynęła krew Romulusa lub rzymskich Cezarów. Marcin chował chłopca według swego pedagogicznego ideału — w kierunku praktycznym. Na najbliższą przyszłość wyznaczał on mu stanowisko chłopaka przy kredensie w Pałkach; później widział, jak Majcherek dorastał godności lokaja; a nareszcie, jeżeliby pozwoliła Łaska Boska i łaska panów, czemużby też nie miał zostać kamerdynerem, to jest specjalistą, przeznaczonym do usług samej pani hrabiny. Ale człowiek tak, a Bóg inak. Dobry Marcin w pół roku poszedł za panem do grobu. Siedział w kredensie, zrobiło mu się źle — i umarł, unosząc ze sobą do trumny tajemnice, albo przynajmniej część tajemnic hrabiego Alberta. Po śmierci Marcina echo pałacowych mitów pozostało chyba tylko w ścianach i sprzętach, równie jak on niemych.

Jakimi były dalsze losy panny Julii, figurującej w opowiadaniu naszym, jako Rea Sylwia, nie wiemy. Podobnież zmuszeni jesteśmy pozostawić czytelnika w wątpliwości, co się tyczy pokrewieństwa Majcherka ze sławnym rodem Lutowojskich, liczącym długi szereg wojewodów, kasztelanów, kanclerzy, hetmanów i t. d. Wszakże nikt przysiędź nie może w takich razach, iż nie było interwencji nadprzyrodzonej. Jaki bożek Mars, Zeus oraz inni lubili się podstawiać i jako anonimy występowali nieraz w wielkim a starym procesie odtworzenia rodzaju ludzkiego.

Jak bywają synowie i córki pułku, tak w Pałkach był syn kuchni. Losu tego niechaj nikt nie zazdrości Majcherkowi.

II.

KUCHNIA I FOLWARK.

Tak więc wśród kuchennej służby dworskiej, popychany przez kuchcików i pomywaczki, pomiatany przez dziewczki i kucharza, traktowany przez lokai na równi z psami, poniewierał się Majcherek przy Pałeckim dworze. Był to już obecnie ośmioletni może chłopaczek, dziecko bardzo piękne, ale wątłe, przywiedłe, ciągle kaszlące, widocznie niedożywiane. W kuchni, gdzie się załatwiają tak poważne kwestye, jaką stanowi zaspokojenie wymagań hrabskich żołądków i podniebień, nie ma czasu na wyzwalanie ze stanu potencjonalnego sił, zwanych filantropijnymi popędami, ani na zastanawianie się nad losem jakiegoś tam dziecka; zwłaszcza też, jeśli niedokładnie wiadomo, w jaki sposób ono przyszło na świat. Mianowano chłopca „Majchrem, Majcherkim, Majchrusem,“ stosownie do humoru i względów osób, które w danej chwili mogły nań zwrócić uwagę. Już to szczególnych łask nie miał Majcherek u służby. Nieraz kuchcik przy pomocy ścierki, różna, miotły lub pogrzebaczka wypędzał psy, które nieustannie od samego rana czatowały przy drzwiach, nie mając nic lepszego do roboty nad oblizywanie się i przyjemne rozpa-

miętywanie o przymiotach smakowych rozmaitych frykasów, woń których przez szpary drzwi dostawała się do sieni. Przy dobrej sposobności psy owe hurunem cisnęły się do kuchni. Taki kuchcik często się rozmachał i zawział, aby kuchnię raz uwolnić od wszelakiego psiarstwa; więc gdy już sprawił porządne mydło różnym Brysiom, Mortonom, Brylantom i Kruczkom, spostrzegłszy jeszcze Majcherka, ściągnął go nieraz po grzbiecie, wołając:

— Wynosź się za drzwi psia duszo, raku!

I Majcherek się wynosił; nie brał tego wcale do serca, nie uważał za zniewagę. Cóż to dziwnego, że kuchciki lub lokaje klną i biją? Majcherek myślał sobie, że i on sam także, jeśliby kiedy został kuchcikiem, kłąłby i biłby psów oraz takich, jak on, małych bębnow. Wypędzony z kuchni za drzwi, zasiadał wraz z psami pod ścianą do słońca i tu często rozmawiał sam ze sobą, albo i z psami. Jeżeli psy poszły znowu wartować pod drzwi kuchni, Majcherek też szedł za nimi i razem z psami wciskał się do kuchni; tutaj wlaził pod stół lub pod ławę; poszukiwał ostrużyn z marchwi, kalarepy, brukwi, jabłek, gruszek, zbierał wytloczyny z malin, agrestu, pożeczek; szukał pestek rozmaitych owoców; on się tem wszystkim żywił. Czasem która z dziewczek posłała go po naręcze drzew, albo mu poleciła obierać kartofle; czasem kuchcik rozkazał Majcherkowi obracać rożen z pieczenią, wiercić mak w donicy, lub wykonywać inną jaką czynność. Chłopiec robił dobre interesa na takich zajęciach, bo zwykle dostawał za to jaki ochłap albo kawałek chleba.

Kuchmistrz hrabskiego dworu, pan Maselko, człowiek rezolutny i bystrego oka, mający pretensye do wyższej umysłowości, dzierżył w energicznej prawicy nieubłagany rygor kuchenny. Kiedy w oznaczonej godzinie wystąpił odziany w szaty przezyste białości: w białej czapie, białym kaftanie i fartuchu, miał wtedy uderzyć w stół nożem. Było to hasło dziennego porządku, a znaczyło mniej więcej: „nie ścierpię

rządu w rządzie!“ Gotowano parę razy na dzień; ale generalne wystąpienie pana Masełki rozpoczynało się po południu, coś około godziny pierwszej: Jeżeli mistrz ten, wstępując na arenę swego zawodu, gwizdał, był to znak, iż zaczyna działać w złotym humorze. Wszyscy też w kuchni nasłuchiwali bacznie, czy pan Masełko przed uderzeniem nożem w stół gwizda, czy pośpiewuje. Stanowiło to bowiem borek dnia. On sam wiedział o tem, iż ma taki zwyczaj i zupełnie świadomie gwizdał, albo śpiewał. Nakręcając nie raz ucho ogrodnikowi, który mu na czas nie dostarczył włoszczyzny, mówił ponurym głosem:

— Słuchajno, ty badylarzu! Drugi raz, nim mi się tu na oczy pokażesz, popytaj jak ja śpiewam!

I przy tych słowach wykonywał mniej przyzwoity gest nogą, w skutek którego ogrodniczek, jakby z procy wyrzucony, padał gdzieś w przeciwnym końcu kuchni, krzycząc w przerażeniu.

— O la Bogal...

Zarówno więc ręki, jak i nogi, używał ten hrabski kucharz, gdy chodziło o sterowanie podwładną rzeszą. Tylko dwa ptaki, wiszące w klatce przy oknie, cieszyły się nigdy nieustającą łaską pana Masełki. Jeden z tych ptaków był kos, zwany Maciuś, drugi — kanarek — Błażek. Prócz tego chodziła po kuchni swobodnie sroka, która w różnych czasach nosiła różne imiona, stosownie do gustu kucharza. Jeżeli np. w danej chwili pomywaczką przy kuchni była dziewczka imieniem Baśka, to Masełce mógł do głowy przyjść pomysł, aby srokę także Baśką nazwać. Właśnie w czasie, do którego się odnosi nasze opowiadanie, sroka nosiła imię „Pękasia“, a to od nazwiska gospodyni Pękalskiej, której władza rozpościerała się znowu na innem terytorjum, na tak zwanym folwarku, gdzie Pękalska administrowała i organizowała rozplodowe czynności drobiu, rogacizny i nierogacizny. Sroka dostawała też czasem kopnięcie nogą od kucharza.

Kiedy Maselko był zły i śpiewał, wtedy kos i kanarek wytrzeszczały nań czarne oczka a nasłuchiwały pilnie, oczekując, co to będzie. Sroka włąziła pod stół i stamtąd zerkiała ciekawie, obserwując różne dramata. Gdy dopiero kucharz zaczął sadzić krociami a milionami dyabłów, gdy się w kuchni zrobiła wrzawa, a wybuchały głośne nieraz szłochy, łkania i krzyki rozpaczy, — wówczas ptaki w klatkach rozpoczynały koncert, darły się z całego gardła; wówczas i sroka wyskakiwała z pod stołu, siadała nieraz na ramieniu którejś dziewczki lub kuchcika i, jakby klóćąc się, dorzucała do wrzawy swoje skrzeczenie: „trrra, trrra, trrra!“

Psy, owe zwierzęta, które wobcowaniu z człowiekiem rozwinęły najwięcej sił duchowych, na Pałeckiej kuchni odznaczały się też niemałą inteligencją i zwykle, zaraz przy pierwszych wybuchach Maselkowego gniewu, zmykały za drzwi pospiesznie, myśląc zapewne, że jeśli ludzie źle się traktują między sobą, to czegóż od nich mają się spodziewać one — zwierzęta! Było raz nawet takie zdarzenie, że pies Brylant, mieszaniec wyżła i kundla, który kilka razy w życiu za zagładanie w garnki oraz rondle wycierpiał istną wiwisekcją, usłyszawszy grzmiący głos pana Maselki, a przytem nie zorientowawszy się dostatecznie, do kogo się groźba stosuje, i widząc nadto zamknięte drzwi do sieni, rzucił się jednym skokiem w okno, powiększając zgiełk brzękiem stłuczonych szyb, przewracając po drodze garnek ze śmietaną i liczne słoiki z konfiturami.

Ale wypadki tego rodzaju byłyby niczem w porównaniu z wybuchami antagonizmu pomiędzy zwierzchnią władzą kuchni a głównym zarządem na folwarku, reprezentowanym przez wspomnianą już panią Pękalską, niewiastę słynną z talentu swego na punkcie pobudzania i przyspieszania rozplodowego popędu u kur. Pękalska miała pod swymi rozkazami jakie półtuzina młodszych i starszych dziewczek, gotowych iść w ogień na jej skinienie. W danej chwili rozrzuciła ona te amazonki po krowiarni, chlewach, kurnikach, dając każdej

odpowiednią instrukcją. Przy doborze takiego zastępu szarfarka kierowała się zasadą, czy dziewczka potrafi się odciąć karbowemu, ekonomowi, kucharzowi, lokajom i t. d., z którymi to urzędnikami folwark pozostawał w ciągłych a nader żywych stosunkach, mających atoli charakter niekoniecznie przyjacielski. Karbowy niezawsze wydawał dla krów i trzody chlewnej dosyć plew, siczki, siana, słomy, jako też innych produktów polnych. Z ekonomem znowu należało walczyć o każdą garść pośladu dla drobiu, o kartofle, buraki i ospe dla bydła. Z lokajami bywały bardzo niemiłe utarczki, ilekroć chodziło o śmietankę do kawy, herbaty, poziomek. Każdy organizm walczy, aby wyżyć, o ile się daje — dobrze.

Główne atoli zapasy musiała staczać Pękalska z zuchwałym samowładczą kuchni. Ten człowiek nie znał żadnych towarzyskich względów delikatności, ani dla płci mieszkank folwarku, ani dla stanowiska Pękalskiej. Stosunków zaś z nim w żaden sposób nie można było zerwać, albowiem folwark obowiązany był na każde zawołanie dostarczać do kuchni drobiu, nie mówiąc już o bajecznie znacznych ilościach masła, śmietany, suszonych grzybów, konfitur i t. d. Jeżeli zatem dziewczka, stojąca na czele transportu, przesyłanego do kuchni, nie była sprytna i zaradna; jeżeli się nie umiała porządnie odciąć gębą, wtedy pan Masełko wybredzał i często połowę transportu zwracał folwarkowi, domagając się lepszego materiału.

— Cóż sobie ta Pękalska myśli? Wołał nieraz kucharz. Czy ja to mam psów karmić, czy co?

I bez ceremonii wyrzucał za drzwi przychude kurczęta, indyki, kapłony, albo rozbijał garnki z masłem, próbował śmietany, obwąchiwał grzyby. Przytem wydziwiał dokuczliwie, lub kłął, na czem świat stoi. Jeżeli atoli folwarczna dziewczka, przybywająca z dostawą, nie zapomniała języka w gębie i umiała się postawić z odpowiednią godnością, wówczas miękł widocznie kuchmistrz, a choć gderał nieco, wymyślał, jednak przyjmował wszystko, co Pękalska przysłała.

To też jedynym ambasadorem w takich trudnych poselstwach była dziewczka Magda, której nawet bała się sama Pękalska. Niechnoby jej co powiedział kucharz, lub ktobądź! Otwierała natychmiast szerokie usta i nie prędzej zamykała, aż postawiła na swoim. Była to białogłowa dużego wzrostu i o atletycznych mięśniach; twarz jej ożywiały nigdy nie zgasły rumieniec zdrowia, a niebieskie oczy pały iskrami zachwalstwa i nieuległości. Strach było spojrzeć na Magdę. Pan Masełko do osób zaufanszych w kuchni mawiał o niej: — To bestya, nie kobieta!.. Jucha lucyfer, z piekła rodem!

Z początku próbował on wziąć górę nad Magdą, ale gdzieżby mu się to udać mogło. Klął Masełko; klęła setniej jeszcze Magda; energia zaś jej gestów i krzyków przerażała wszystkich obecnych.

Zdarzyło się, iż kucharz był raz w nadzwyczajnie złym humorze i, przeglądając dostarczone sobie z folwarku produkty, począł przedrwiwać z chudego kapłona:

— Toście wy się baby popały na folwarku, jak wieprze w karmniku, a na stół hrabski przysyłacie mi tu samych zdechlaków!.. Czy to takiego kapłona mają jeść panowie?

Poczem zaczął z piór żywcem oskubywać ptaka, wzywając wszystkich przytomnych, aby się naocznie przekonali o jego chudziznie, a tem samem o nadużyciach żeńskiej administracji folwarcznej, o niesłychanem próżniactwie klucznicy i dziewczek.

Magda była jakiś czas cierpliwa; sądziła ona, iż to są zwyczajne grymasy pana Masełki; ale gdy ten nawpół oskubanego ptaka wypuścił z ręki i ze złością kopnął nogą, podbijając go niejako w górę, wówczas dopiero dziewczka rozpuściła język.

— Cóż to jegomość baje o folwarku?... Widzicie go! Jeszcze my nic nie robimy! A wy co tu robicie próżniaki?... Ho, ho! Wiem ja, co się święci, chociaż nie gadam, nie wy-



zwierzam języka!... Kto słoiki konfitur posyła propinatorce za gorzałkę? Czy może idą z folwarku — hę?... Kto świeżutkie masło całemi łyżkami wrzuca pod blachę, żeby się ogień zajął — co?... No, a słyszał kto kiedy, żeby na folwarku ptasie piórko zginęło? Kto ma zastanowienie takie rzeczy powiedzieć?... Czy to ja nie spotkałam kiedyś na drodze kuchcika, jak wynosił pod kurtą szparagi do ekonomy? Czy to ja nie wiem, ile się z folwarku posyła kurcząt, ile kapłonów, ile wszystkiego? Kajże to się podziewa — co? Czy może hrabstwo zjadają?... Bajki, prześwietny sędzie!.., Widzicie go, ludzie! Kapłon mu za chudy!... Jeszcze czego! Może go jegomości słoniną posmarować?

Magda wyrzuciła to wszystko ze siebie prawie jednym tchem, wpatrując się zjadłym wzrokiem w kucharza, który udawał, że nic nie słyszy. Straszliwe sapanie, przenikliwy głos i zuchwałe gesta korpulentnej dziewczicy wprawiły w osłupienie całą kuchenną ludność. Wreszcie wypadła z kuchni, rycząc ze złości i wyrzucając z ust mnóstwo przekleństw. Już była na drodze do wolwarku, a jeszcze powtarzała:

— Kapłon mu za chudy! Ciesz się! Niedoczekanie twoje warzy-krupo!

Pękalska, widząc iż Magda przybyła srodze zirytowana, zaraz się domyśliła jakiejś ciężkiej przeprawy z kucharzem,

— No, i cóż tam było? Pytała. Czy przyjął wszystko?

— A juści przyjął, przyjął! Niechta jejmość posyła kogo innego do kuchni, bo już z tą psiajuchą nie do wytrzymał!... Nagadał, naswarzył na mnie, Bóg nie wie co! Jak tak będzie, to wolę podziękować za służbę. Cóż to ma lada kto skrzeczyć na człowieka!

I z temi słowy rozszlochała się Magda, wydając okrutne ryki.

Pękalska była ciekawa, co się stało. Łagodziła dziewczkę, uspakajała, dobruchała, myśląc jednakże w duszy, że dziś właśnie Magda musiała się dać dobrze we znaki kucharzowi.

Bo płacz u tej dziewczuchy był tylko dalszym ciągiem wybuchu złości.

— I cóżes mu ty powiedziała na to? Pytała klucznica.

— Com powiedziała, tom powiedziała! Odrzekła Ma-
gda. Jakby człowiek raz sfolgował, toby go nikt potem nie
miał za psi ogon!

III.

WALKA O BYT.

Bardzo złej opinii pomiędzy służbą dworską w Pałkach używał, wspomniany już przez nas, kasztanowaty pies Brylant. Miał on bowiem to nieszczęście, iż kilkakrotnie schwytano go, jak się dopuszczał występku kradzieży. Ludzie połączyli szpetne przymioty Brylanta w jedno pojęcie i nazwali psa szkodnikiem, mając głównie na uwadze ostateczne skutki, a nie myśląc wcale o przyczynach, które popchnęły zwierzę domowe na bezdroża niemoralności. Człowieka żarłocznego, łakomego, a przytem zaspakającego żądze swoje cudzym kosztem, nazwanoby złodziejem, co brzmi gorzej, niż szkodnik. Zachodzi więc pytanie, dlaczego ludzie względem ukochanego swego bliźniego są w wyroku surowsi, aniżeli względem zwierzęcia, którem się zwykle pogardza, jako istotą bezduszną?... Miałyby w tym punkcie tkwić szlachetna jakaś wyrozumiałość? Miałyby człowiek dla własnego gatunku być surowszym, niż dla stworzeń, nad którymi po tyrańsku panuje? Nie, ludzie; co do tego punktu rządzą się grubo materialistyczną zasadą, a mianowicie: Im istota jest inteligentniejsza, tem szkodliwszą być dla nich może, jeśli

zechce. Człowiek więc w danym razie jest złodziejem, pies i kot w tym samym razie są tylko szkodnikami; ale z gołębia skowronka, mrówki zdejmują się już zupełnie odpowiedzialność, chociażby te zwierzątka nawet chciały być złodziejami lub szkodnikami. Rozumny, *jeśli zechce*, jest zawsze niemoralniejszy od głupiego.

Brylant był ostatecznie tak prześladowanym przez wszystkich służących, że nie miał żadnej możliwości pokazywać się we dnie nietylko w kuchni ale nawet w sieni, do czego już miał prawo Bryś, Morton, chłopiec Majcherek i t. d. Zwykle więc na trawniku pod kompasem lub pod lipą leżał Brylant przez cały dzień, trzymając nos na własnym ogonie i zazdroszcząc może swoim współ-psom bezkarnego uczestnictwa w zażyłszych stosunkach z ludzkością. Dopiero kiedy nocne mroki padły już na ziemię, a spracowane człowieczeństwo snem się wzmacniało do nowych zapasów życia, pies-szkodnik powstawał z legła, skradał się, tu i owdzie wietrząc. Czasem nie domknęto drzwi do kredensu, to i tam zajrzał, cichaczem obwąchał katy, znalazł niekiedy jaką rzecz, którą człowiek przed drugim człowiekiem ukrył: butersznit, kawałek pieczeni w papierze pod szafą; pies nasz umiał nawet zręcznie zajrzeć w kieszenie rozespanych lokajów, którzy nieraz chrapiąc, oczekiwali na rozkazy pańskie do późnej nocy.

Przy wielkim pańskim domu każdy się pożywić może. Brylant łączył w sobie przymioty i cechy matki wyżlicy oraz ojca kundla. Stanowiło to jego jedyny posąg na ciężkie życie. Odziedziczył przeto po swej rodzicielce wyborny węch i dobre oko, jako fundamenta rozumu, to jest zamiarkowanie mniej więcej, co właściwie czynić należy, aby być w zgodzie podmiotowo-przedmiotowej z rozmaitymi współmieszkańcami danej epoki i na danej przestrzeni. Po ojcu kundlu otrzymał w schedzie pokorę, bezczelność, chytryść, to jest w ogóle zbyteczną łatwość przystosowania się do wszelkich zewnętrznych warunków. Te ostatnie przymioty Brylant pod-

niósł jeszcze w psim rodzie, będąc gnany w takim kierunku przez życiowe potrzeby. Nie można jednak powiedzieć, żeby to już był wyrzutek ostatni; tylko że zarody dobrych skłonności nie znalazły warunków do rozwoju.

Ludzie, naturalni panowie położenia, działali na niekorzyść psa w czasie dnia, więc chcąc nie chcąc, Brylant musiał przywykać z wolna do nocnego trybu życia i przeistaczać się na nocne zwierzę. Mieszkańcy Pałek, ludzie, wydawali mu się być aniołami dobroci w nocy dopiero.

Podczas gdy inne psy szczekały około budynków, czujnie stróżując, albo i spały, Brylant wcale się nie troszczył o złodziei; z dnia zaś był dobrze wyspanym, ale tylko doznawał pewnego niemiłego uczucia, które mu podszeptowało maksymę, iż Bożą manną pies także nie wyżyje.

Jeżeli nie wskórał nic w kredensie, biegł z kolei do kuchni, gdzie kuchciki w lecie zwykle na noc otworem zostawiali okna. Brylant, zanim wskoczył wewnątrz, podsłuchiwał najprzód, czy ludzie dobrze chrapiają; jeżeli na zasadzie pewnych danych ocenił, iż wszyscy śpią jak zarżnięci, dostawał się do środka i już swobodnie mógł chrupać kości, wylizywać naczynia, jednym słowem — robić przegląd faktycznego stanu rzeczy.

Od kuchni znowu spieszył na folwark, a tam po wieczornym posiłku zostawały również resztki, niekiedy bardzo cenne; ba, częstokroć nawet można tutaj było nabyć coś więcej, niż resztki. I tak np. w czeladnej izbie, gdzie nocowały dwie dziewczki — Magda z Uliną, pozostawiono oto na noc ser w worku pod prasą, ażeby z niego odpłynęła serwatka, Brylant wlał przez okno do izby i niebawem rozpoczął walkę z serną prasą, saczał od przewrócenia jej na ziemię. Istotnie trudnem było dla psa zadanie do wykonania, bo należało między dwie przyszrubowane deski wsunąć przynajmniej tę część głowy, która jest opatrzona przednimi zębami; trzeba było za jakąbądź cenę wysiłku pochwycić między zęby płócienny worek, wypchany twarogiem i dosyć szczelnie

ściśnięty deskami. Pies oparł się całą siłą swych mięśni o ziemię; ale cóż kiedy znowu opór praski był za mały; przewróconą maszynę mógł tylko ciągnąć ku sobie. Robota ja-
koś się nie udawała, a hałasu ztąd było niemało w izbie. Otóż, Brylant powziął śmiałe postanowienie, aby prasę ze se-
rem wynieść za okno. Cóż ryzykował? Przecież w każdej
chwili miał możność porzucić praskę i uciec oknem, jeśliby
się kto obudził. A nuż się uda?

Rzeczywiście, jedna z dwóch śpiących dziewczek, Ulina
obudziła się z powodu zgiełku; ale, słysząc wyraźnie jakies
zbyt śmiałe szamotanie się i silny łoskot, była pewną, że
straszy; włożyła zatem głowę pod poduszkę z obawy, aby jej
strach czego złego nie uczynił. Dopiero kiedy już Brylant
wyniósł się za okno i wyciągnął za sobą prasę ze serem, wte-
dy odważyła się Ulina cicho wołać na towarzyszkę:

— Magdo! Magdo!... Słyszycie, Magdo!

A gdy zbudzona Magda zapytała:

— Cóż to takiego?

Ulina rzekła:

— Coś okrutecznie straszy!...

Na co jej Magda odrzekła:

— Ej, spałabyś głupia! Przyśniło ci się oto!...

Ulina usłuchała widać Magdy, bo wkrótce zachrapały
obie, wtorując jedna drugiej.

Brylant zaś dostał się z prasą w krzaki, a tu jął się do
pracy tak dzielnie, że już połowę serka przemieniało się
w żołądku na życiodajne soki, kiedy go tu zwietrzył kolega
Bryś, pies czarny, nieco kudłaty, z rodu szpiców, bardzo za-
wzięty, ale otwarty w postępowaniu, nie lubiący się bawić
w żadne podstępny. Bryś był wielce czujny, więc szybko
zmiarkował, że coś niezwyčajnego odbywa się w okolicach
folwarku, Wziąwszy za przewodnika ucho i nos, dotarł nie-
zwłocznie do krzaków. Tu się krótko namyślał, gdy ujrzął,
że Brylant jest szczęśliwym posiadaczem istotnego skarbu.

Przekąska nikomu, nawet w nocy, niezawadzi, więc Bryś bez ogródki przystąpił do Brylanta i warknął srodze.

— Mrrruuu! Mrrruuu!

Co prawdopodobnie w psim języku miało znaczyć:

— Wynosz się ztąd do wszystkich dyabłów!

Na to Brylant odpowiedział z głębi gardła, nie popuszczając worka z serem:

— Rrrrryyy!

A to w przekładzie na język ludzki może znaczyć;

— Ej!... Nie zaczynaj ze mną, bo jak cię palnę, to kości nie pozbierasz!

Przez parę minut trwał taki dyalog, który chyba nie jest niczem innym, jeno wyzwaniem sił i uczuć, potrzebnych do walki.

Brylant wiedział, że ser jest jego zdobyczą, którą mieliby prawo odebrać mu jedynie ludzie; Bryś wiedział drugą prawdę, a mianowicie, że dosyć jest posiadać trochę śmiałości i siły, ażeby właścicielowi odebrać to, co on uważa za swoją własność. Bryś był szczupły, ale za to krewki, burzliwy, cięty, pełen rycerskiego animuszu, rwał się do bitki; Brylant odznaczał się okazalszą budową, lecz posiadał temperament flegmatyczny i lubił zawsze postawić na swoim.

Mniemam, iż wyszczerzanie zębów u psów przed walką jest straszaniem przeciwnika i przechwalaniem się z rodzaju oręża. Nasi dwaj zapasnicy nie straszili się długo swymi sztyletami; po co mieli robić tę komedię? Pierwszy Bryś skoczył do Brylanta i chwycił go za ucho, szarpnął i pociągnął na dół ku ziemi, tak że Brylant, porzuciwszy serek, przywarował na przednich łapach, stojąc prosto na tylnych, a przytem straszliwie chrapiąc, warcząc i sapiąc.

Teraz nastąpiła chwila jakoby porozumienia się co do pewnych wzajemnych ustępstw w sprawie nawpół zjedzonego sera, którego Brylant miał jeszcze pełno w zębach i w gardle. Przypuszczać należy, iż w psiej walce uchodzą różnego rodzaju wykręty; więc być może, że pierwotny zdobywca se-

ra podstępnie tylko wyraził pewien stopień uległości czy skłonności do ustępstw; może przebaknął coś w tym sensie z obawy, aby mu nieprzyjaciel nie urwał kawałka konchy usznej. Pomiędzy ludźmi rozmowa w tym razie takby się przedstawiała mniej więcej: Człowiek, dotknięty w miejsce drażliwe i zagrożony utratą jakiego ważnego organu, przemówiłby do napastnika:

— No, o cóż ci chodzi? Chcesz mię obedrzyć? Więc sobie zabierz zegarek i pugilares, a puść mię całego.

Napastnik właśnie tylko czekał na takie przyzwolenie i, nie odejmując rewolweru od mózgownicy swojej ofiary, zabiera cenne efekta kochanego lecz bogatszego od siebie bliźniego. Jest to chwila najbardziej stanowcza zarówno dla opryszka, jak i dla napadniętego. W tej walce o jakie pięćdziesiąt rubli można utracić życie, zapewne ironicznie skarbem przezwane.

Bryś musiał widocznie pofolgować przeciwnikowi, gdyż ten naraz szybko się podniósł w górę, zarzucił Brysowi na kark przednie łapy i, stawszy się z kolei panem położenia, zwycięzko szczechnął wrogowi tuż nad uchem:

— Ham! ham!

Potem przewalił go na ziemię do góry brzuchem a, przyciskając prawą łapą gardło, lewą zaś — piersi, dyktował po bohatersku warunki pokoju. Uczuł Bryś niezmiernie przykre swoje położenie; utrudnione oddychanie wzywało go do zrzeczenia się nieoglednych pretensyj; mógł on być teraz pewnym, że Brylant nie ustąpi mu jednego miligramu sera. Przycichł zatem w zuchwalstwie i, wijąc się, składał świadectwo, iż mu obecnie chodzi jedynie o to, aby się z przemocy wydobył i odzyskał swobodę ruchów. Brylant też uciął go tylko jeszcze gdzieś w słabiznę, aby mu dać pamiątkę rozprawy i z wyprostowanym do góry a gładkim, jak kielbasa, ogonem pospieszył tryumfalnie ku prasce ze serem. Tutaj atoli przerażający widok uderzył go za przybyciem.

Powyżej opisana walka dwóch psów doszła odgłosem

swoim do uszu wielkiego brytana Mortona, który bardzo brał do serca i wielce poważnie traktował swój fach nocnego stróża przy hrabskim pałacu. Słyszał on pod folwarkiem trochę warczenia, skowyczenia i skomlenia, przeto przedsięwziął rekonesans. Nie pędził wcale cwałem, jakby to czynił, zwietrzywszy złodzieja, lecz biegł sobie, drepcąc małego truchta i zatrzymując się po drodze, aby obwąchać każdy krzaczek, kamyk lub kępkę trawy. Morton odznaczał się olbrzymią muskulaturą ciała. Był to pies barwy lwa; łeb miał potężny, zaopatrzony szerokimi, obwisłymi kłapami usznemi; na łbie zaś—od oczu ku nosowi—zdobiła go czarna smuga; a czarne również były pogardliwie na dół obwisłe wargi; w oczach Mortona uderzała barwa żółta i zakrwawione białko. Złowrogo patrzył ten pies. Przybył on właśnie na plac boju w chwili, kiedy Bryś, odprowadziwszy Brylanta w krzaki o kilka kroków od prasy ze serem, targał go za ucho, jak bakałarz leniwego ucznia. Morton popatrzył zdaleka a dosyć obojętnie na walczących i w duszy niejako zadał sobie pytanie:

— Czy tu gdzie w pobliżu nie ma przypadkiem jakiej pięknej kości, lub też innego przedmiotu, o który ci dwaj krew przelewają?

Zaledwie myśl taka błysnęła w roztropnej głowie brytana, a już był on na tropie praski ze serem. Płócienny worek, wyciągnięty z prasy do połowy i poprzegryzany zębami Brylanta, odrazu rzucił się w oczy Mortonowi. Jął się zatem czempredzej roboty i począł doświadczać rozmaitych metod zwierzęcych, dających się stosować w takich oraz podobnie zawyłych przypadkach.

Kiedy więc Brylant, pozostawiwszy w krzakach Brysia, aby się wylizal, powrócił zwycięzki z placu bitwy do sera, ujrzał dobrze sobie znanego towarzysza, pożywającego ów pokarm, na zdobycie którego on wyłożył już tyle ciężkiej pracy, za który krew nawet przelewał. Brylant zajął teraz to samo stanowisko, na jakim przed chwilą Bryś się znajdo-

wał. Najeżył tedy srogo sierść na karku i grzbiecie, wyprężył prawie prostopadłe ogon, podniósł do góry z boków i z przodu wierzchnią wargę, ukazał zdrowe białe zębce, mignął błyskawicą wściekłości w oczach, a krocząc wolno nogą za nogą, głosem idącym z głębokich wnętrzości, rozpoczął akt uroczystej protestacyi przeciwko przywłaszczycielowi.

Nowy zdobywca w poczuciu siły olbrzyma ani myślał tego wszystkiego brać pod uwagę; ser go bowiem głównie obchodził. Cóż dla niego znaczyły jakieś tam fochy i dąsy słabszego współzawodnika? Brylant znowu w poczuciu prawa własności przystąpił może za blisko do praski ze serem, ażeby za tyle mozołów mieć przynajmniej prawo zasiąść do wspólnego stołu. Morton nie mógł się na to zgodzić; porwał śmiałka za bary i rzucił nim silnie o ziemię. Zatrzeszczały krzewy wonnych jaśminów, róż, bzów włoskich i tureckich, a powalony Brylant wydał jęk boleści. Kiedy brytan pożywał ser, Bryś, siedząc na tylnych nogach i na ogonie, oblizywał się w oddaleniu, w ten sposób uczestnicząc w biesiadzie. Ale skoro ujrzał Brylanta z nóg zwalonego i żałośnie ogłaszającego swoje cierpienia, pospieszył ku niemu niebawem, rzucił się namiętnie do jego gardła i rozpoczęło się gwałtowne tarmoszenie w krzakach. Morton tynczasem z powagą dokończył uczyty.

VI.

NAZAJUTRZ Z RANA.

Za długo trwały te nocne krwawe zapasy zwierząt o kawałek sera.

Magda, z pierwszego snu zbudzona przez Ulinę, nie mogła już drugi raz twardo zasnąć. Każdemu jest znana teoria snu pierwszego, albo jak się mówi na wsi „snu z wieczora“. Swoją drogą Pękalska, sypiająca o ścianę od sypialni dziewczek, miała tej pamiętnej nocy sen bardzo niespokojny; nieustannie bowiem sniły jej się psy, a to oznacza ludzi złych czatujących na zgubę człowieka, według sennika egipskiego, wydawanego aż w Galicyi w mieście Tarnopolu. Właśnie już dobrze świtało, kiedy szanowna klucznica przetarła oczy, przebiegła myślą dzieje nocnego widzenia, zatrwożyła się nieco w duszy i wspomniała na wroga swego Masełkę. Psy i kucharz zupełnie odpowiadały, jako kombinacya, umysłowym potrzebom Pękalskiej. Westchnęła, przeżegnała się i poczęła pięścią bić w ścianę, wołając:

— Magda! Magda! Słyszysz Magda! Wstawajno!

Magda zastosowała do Uliny takie samo wołanie. I obie dziewczki porwały się na swoich werkach, a Magda, jako główny minister i pieczętarsz w królestwie Pękalskiej, zarzuciw-

szy na siebie kieckę, pospieszyła czempredzej do pokoju swej przełożonej. Tutaj z przerażonemi oczyma wysłuchiwała najprzód opowiadania klucznicy o straszliwym śnie, w którym psy całą noc napastowały Pękalską, a jeden ją nawet „tarmosił“.

— Pewno znowu będzie jaki skweres z tym zacieczonym kucharzem! Rzekła Magda, wpadając równie jak szarfka na skojarzenie pojęcia psów z pojęciem kucharza.

Ale posiedzenie to i rozmowa na temat wnioskowania oraz przewidywania logicznych następstw, zapowiedzianych w proroczym śnie Pękalskiej, przerwane zostały przez nagłe ukazanie się na progu Uliny, która tak mówić poczęła:

— Oj, proszę pani, coś dziwnego stało się dzisiaj w nocy.... Straszło, straszło... hurgotało po kątach, tłukło się setnie... Terazicki spojrzę, a tu w izbie serka z praską brakuje!

— A ty, psia mać, dyablico jedna! Nie mogłaś na mnie zawołać? Cóż to o ścianę, to jaka Ukraina czy co? Rzekła Pękalska wychylając z pod pierzyny swój poważny organizm.

— A dyć wrzeszczałam w nocy na Magdę!... A Magda mi powiedzieli, że m głupia, że bym spała! — Odpowiedziała Ulina, nawpół płacząc.

— To dopiero psia wiara! Zawołała opryskliwie Magda! Nie mogłaś pyska dobrze rozdziawić i powiedzieć dokumentnie, że się tłucze, tobym była wiedziała, co w te pęd-poczynać? Gada mi przez zęby, że strasz... Bo jej to strachy dziwota? Bo to raz już tak mówiła? Ja się tam stracha nie boję. Przewróciłam się na drugi bok i koniec. Ale m i tak nie dosypiała, bo psiska straszny harmider robiły: pewnikiem ujadają za złodziejem, co serek wyniósł!

— Aj, aj, do kaduka ciężkiego! Piękny mi porządek w tym dworze! Wykrzyknęła Pękalska, przejęta zgrozą. A to, jak Pana Boga ukrzyżowanego kocham, człowiek tu może życie postradać, jak nigdy nic, bez żadnego ratunku. Złodzieje plondrują po domu, jak trzoda w kartoflach,

a wszystko to nikogo nie obchodzi. Bo to tu kto dba o pańskie dobro?... Bój się Boga, Magda, lećno duchem do ekonomy i powiedz mu tam odemnie kazanie. Przecież ja nie będę warowała po nocy przy serach! Jeszcze czego!...

Pękalska wstała zgryziona, a Ulina jeszcze jej dogadywała:

— To ta, proszę pani, swój ukradł!.. Obcyby po serek nie zachodził; szukałby czego innego: przyodziewku lub grosiwa.

— Grosiwa! Grosiwa! Skądżeby tu wziął grosiwa?... Czy to grosiwo sieją na folwarku? Jakaś ty głupia, mało jedna! Fuknęła klucznica, która miała podobno kilkaset rubli, schowanych w pończosze, i nie lubiła, ażeby kto dotykał tej kwestyi. Do kogóż to mówisz o grosiwie? Akurat mam sakwę dla złodzieja! Dorobiłam się pięknie w Pateckim dworze, z przeproszeniem... figi!

— Niechże się też pani tak nie turbuje. Mówiła Ulina. Żeśli tak powiadam, to nie bez to, żeby pani miała grosiwo.

— Stul gębę, czarownico, i ruszaj do kurnika! Wybuchnęła Pękalska, zirytowana w najwyższym stopniu, że Ulina ciągle nakreca rozmowę do pieniędzy.

Dnia tego ruch był bardzo ożywiony na folwarku w Palkach. Wprawdzie każdy robił swoje; ale każdy miał w głowie ćwieka: „co się też mogło stać w nocy ze serkiem?

Pan ekonom, Hałastrowicz, kiedy mu rzecz całą wyluszczyła Magda, przyczem docięła nieco, jakoby straż nocna przy folwarku nie odpowiadała duchowi potrzeb, machnął ręką koło głowy i rzekł obojętnie:

— Pal sześć serek! Mogli ukraść krowę lub konia!

Taka opinia pryncypalnego urzędnika w Palkach tem dotkliwiej jeszcze ugodziła i podrażniła Pękalską.

No, patrzcież państwo? Mówiła: I to takiemu lekko duchowi oddają wszystko na łaskę i niełaskę! Mogli ukraść krowę lub konia; juści prawda że mogli. Ale jakby ukradli

krowę, powiedziałyby niezawodnie: Pal djabli krowę! Mogli ukraść sto korcy pszenicy!

— A juści, a jakże; pewnoby tak powiedział. Przyświadczała Magda. A co mu tam szkodzi? Czy to jego zgu-ba będzie? I takby balował po całych nocach.

— Nie słyszałaś też, Magdusiu, co o tem wszystkim mówią w kuchni? Rzekła Pękalska, której trafiło w gust potakiwanie dziewczki.

— A cóż mają mówić?... Nie wie to pani, jakie to soba-cze nasienie? Będą mieli pośmiewiska z folwarku przez jaką niedzielę, i tyle! Odrzekła Magda. — Czy im to dziwno szcuć na człowieka?

Atoli wypadki rozwinęły się w innym, przez nikogo nie-przewidywanym kierunku.

Maselko przybył do kuchni o zwykłej porze, a był wi-dać w bardzo złem usposobieniu. Najprzód już w drodze do kuchni kopnął z całej siły Brysia, który się ku niemu garnął i łasił natarczywie. Pies, znieważony w ten sposób, zasko-wyczał cieniutko, spuścił ogon, spojrzął z podełba na kucha-rza, potem usiadł do słońca pod ścianą i troskliwie a umie-jętnie wylizywał sobie rany, jakie poniósł był w nocy.

Inne psy, widząc skompromitowanie się Brysia, nie wi-tały już pana kuchmistrza. Maselko, wszedłszy do kuchni, nie gwizdał ani nie śpiewał, tylko mruczał coś pod nosem, około którego na mięśniach twarzy igrał odcień niezadowo-lenia oraz ironii. Kanarek napuszył się w klatce jak bomba i z cicha pogwizdywał: „Fit-fit! Fit-fit!“ Kos podszedł ku sa-mej ścianie klatki, jakby chciał przez szczeble zbadać fizyo-gnomią kucharza. Sroka też, podskoczywszy parę razy, przekreśliła główkę i spoglądała w górę na oblicze pryncypa-ła. Maselko podług zwyczaju uderzył w stół tyłcem noża, ale dzisiaj coś bardzo silnie. Złowrogi dźwięk rozległ się po kuchni. Sroka czempredzej pod stół się schroniła, a inne ptaki w obu klatkach wskoczyły na najwyższe żerdki. Kuch-

ciki oczekiwali rozkazów z wyrazem bojaźni i uległości na twarzach. Dziewki gorliwie rozniecały ogień pod blachą, szorowały stoły, stolnice i ławki, znosiły w konewkach wodę i przelewały ją w stągwie a cebry. Każdy zaś myślał w duszy:

— Nie obejdzie się tu dzisiaj bez jakiego piekła.

Ale wypadki dnia jeszcze się były nie rozwinęły w kuchni według normy, jeszcze nikt nie oberwał za uszy, ani nie dostał po grzbiecie, jakkolwiek groza burzy wisiała widocznie nad tym towarzyskim horyzontem, — kiedy oto w progi kuchni weszła Magda, prowadząc za rękę Majcherka, a tuż za nimi postępowała Ulina.

V.

WINOWAJCA.

Widzieliśmy zaciętą walkę psów o ser w prasie. Zwyciężył Morton, który, pokonawszy Brylanta, wyciągnął z prasy ostatni kawałek sera, wydobył go z worka i spożył z wielkim apetytem, poczem powrócił pod pałac. Długo jeszcze plac boju obwąchiwali Brylant i Bryś, wybierając w trawie maleńkie okruchy sera; aż wreszcie i oni odeszli.

Traf zdarzył, iż jakoś około południa Majcherek zaszedł w owe krzaki, a ujrawszy tutaj praskę serną, zaczął około niej majstrować; postawił ją na nogi, wsiadł jak na konia, włożył sobie na głowę przegryziony przez psy worek, słowem bawił się malec. Właśnie podczas tych figlów zesła Majcherka Magda; na której prasa serna, porzucona w krzakach, zrobiła nadzwyczajne wrażenie.

— No, moi ludzie, moiściewy! Zawołała dziewczka. To ja mam w domu taką zgłobę, urwanie łba i szyi o praskę ze serem, a ten rak, zbereźnik w krzaki ją sobie wyniósł.

Malec nic a nic niezrozumiał słów Magdy, przejętej doniosłością faktu znalezienia praski i oczywiście wykrycia sprawcy niecnego czynu kradzieży. Ludzie mają chwalebny

zwyczaj, iż, pojmawszy złodzieja rzeczywistego lub pozornego, prowadzą go do władzy. Dziewka wahała się przez chwilę, co do tego punktu. Bo któż mógł być władzą Majcherka? Gdzie go dostawić? Do Pękalskiej, czy do Hałastrowicza? Atoli, dzięki energii pana Maselki, instytucja kuchni w Pałkach tak się wyosobniła i wyemancypowała, że w umysłach miejscowej ludności tkwiło poczucie zupełnej autonomii kucharza, nie tylko pod względem administracyjnym, ale i prawodawczo-sądowym. W przeświadczeniu więc Magdy Majcherk najzupełniej podpadał pod władzę Maselki. Schwyciła go przeto za rękę i tak, jak był, w dziurawym sernym worku na głowie, dostawiła władzy. Po drodze przyłączyła się do eskorty Ulina, która mówiła:

— O rety, rety! Taki mały bebech i Pana Jezusa ani krzty się nie boi. Pan Maselko, dostawszy w ręce swoje zbrodniarza jakiegokolwiek gatunku, trzymał się zasady uproszczonego postępowania, to jest nie wyprowadzał bynajmniej śledztwa, lecz wydawał wyrok, odpowiednio do wielkości przestępstwa, a następnie sam własną ręką, lub własną nogą wymierzał sprawiedliwość.

Obecnie kucharz był poniekąd zadowolony, że dziewczyna, i to mianowicie Magda, przybyła do niego właśnie z folwarku, poszukując wymiaru sprawiedliwości. Nie byłże to dowód supremacji kuchni nad folwarkiem, dowód daleko i głęboko sięgających wpływów kuchmistrza?

Magda, gestykulując żywo, złożyła akt oskarżenia Majcherka w słowach nader wymownych, kładąc też znaczny nacisk i na okoliczności tłuczenia się oraz hurgotania po nocy w czeladnej izbie dziewczek na folwarku. Ulina czuła się wtedy zadowoloną wewnątrz, że ona jedna ma na tym punkcie zasługę; albowiem ona to wszystko słyszała i była bliżką znacznie wcześniejszego wykrycia, nawet uprzedzenia czynu zbrodni; więc też przyłączyła się jako świadek, rzekomo naoczny, mówiąc:

— A jakże, jakże!... Łaził po kątach, po dziurach około

północka, tłukł się jak Marek po piekle, i oknem wyniósł prasę ze serem. Oj żebym tak była przewąchała, że to on beskurcyal... Zadałabym ja mu...

Maselko uczuł, że występuje jako mąż publiczny, nie tylko wobec kuchni i folwarku. Wszyscy przecież w Pałkach będą mówili o tak ważnym fakcie. Nietylko sędzia i oprawca odzywał się w sumieniu pana Maselki, ale także pedagog, działający w kierunku społecznych ulepszeń. Kucharz nastroił się zatem poważnie, biała kucharska czapka opadła mu na tył głowy, w tył także założył ręce i miał na twarzy wyraz surowej, nieubłagalnej sprawiedliwości. Takim jest człowiek, zgorzony postępowaniem bliźniego.

Maselko nie wybuchnął wcale gniewem tą razą, lecz bazyliżzkowy wzrok z pod gęstych rudych brwi wymierzył w strasznie przerażonego Majcherka; który — podobny do jakiej ofiary niegdy św. Inkwizycyi — stał dotąd w worku ze sera na głowie i pobudzał do szyderskich uwag kuchcików, jako też pomywaczki. Ten worek stanowił *corpus delicti*. Co tu mówić? Zbrodnia była dowiedziona. Pan Maselko krzyknął tedy na jednego z kuchcików:

— Antek! Weź no nową miotłę i zrób mi różgę! Tylko dobrą, rozumiesz!

Usłużność ludzi jest wielką, gdy chodzi o wymiar sprawiedliwości na złodzieja.

Antek wykonał polecenie ze skrupulatnością, godną lepszej sprawy.

Pokazuje się tedy, że kucharz był człowiekiem wrażliwym moralnie; ale i w poczuciu sprawiedliwości swojej w ocenie zła wyrządzonego społeczeństwu sięgał on głębiej, niż na to pozwalał akt oskarżenia, złożony przez Magdę. Zda się nawet, iż mniej go raziło przekroczenie paragrafu, znanego chrześcijańskiemu światu jako szóste przykazanie; albowiem w wypadku inkryminowanym dostrzegł on bardzo czarny punkt; mianowicie zamach na przestąpienie innego przykazania, zbrodnię, dzięki której Majcherek ujrzał światło

dzienne. Wejście ośmioletniego chłopca w nocnej porze oknem do sypialni dziewczek wydało się Masełce straszmem skażeniem obyczajów, hańbą wieku. Drżał prawie z oburzenia, gdy mówił:

— To ty, łajdaku, będziesz się w nocy do dziewczek zakradał!: I ktoby to pomyślał na takiego pędraka.

Są ludzie dojrzały, którzy publicznie mówić nie umieją. Majcherek umiał mówić tylko do siebie samego, a najwyżej do psów. Przemawiać wobec takiego grona i w obronie własnej było niepodobieństwem dla chłopca. Więc mu się tylko rzewne łzy polały dużemi perłami z pięknych, czarnych, na dół spuszczonej oczu. Te łzy staczały się po gładkich jak aksamit policzkach i spadając wsiąkały we wstrętne brudną koszulinę dziecka.

Różga była już sporządzona; Antek trzymał ją na pogotowiu.

— Wystawić na środek ławkę! Krzyknął Masełko.

A dziewczki niebawem z wielką gorliwością wyniosły z pod ściany długą ławkę.

— Kładź się, gałganie jeden! Wrzasnął znowu kucharz, biorąc od Antka różgę i próbując jej giętkości w powietrzu. Różga wydała świst, siekąc kuchenną atmosferę. Majcherek wybuchnął głośnym łkaniem i szlochaniem, lecz się nie mógł zdecydować, aby dobrowolnie legnąć na torturze. Wówczas Masełko chwycił malca za kark i rzucił na ławkę, jakby kładł na stolnicę kawałek mięsa do siekania. Kuchciki w mgnieniu oka potrzymani za głowę i za nogi. Majcherek wrzeszczał na całe gardło, kanarek darł się, jak mógł najgłośniej, kos gwizdał wojennego marsza, sroka krzyczała jak zły duch, niby podżegając do bicia i natrzęsając się z ofiary; kucharz ciął nielitościwie w przekonaniu, jakie żywi każdy kat, iż pracuje dla dobra ludzkiego gatunku. Co parę zaś różg, gwoli wyższej użyteczności, Masełko się zatrzymywał w czynności i wygłaszał jaką moralną naukę, jak np.

— A nie włócz się po nocach! Nie kradnij! Nie rób ludziom zła, bo Pan Bóg się gniewa!...

Delikatny, młodziutki organizm chłopca przeszedł cały w stan prawie konwulsyjnego drgania; Majcherek wycierpiał straszną kaźń i po dziesiątej rózdze, gdy go oprawcy z rąk swych wypuścili, spadł jak martwy pod ławę.

— Oblać tego huncwota wodą i wyrzucić za drzwi! Zawołał kucharz, mocno zentuzyzmowany do wielkich zasad moralności.

Naturalnie, rozkaz ten natychmiast wykonano.

PANI HRABINA

VI.

PANI HRABINA.

Majcherek był tak nałogowo przyrośnięty do budynku kuchni i jej okolic w promieniu jakich pięćdziesięciu kroków, że od śmierci opiekuna swego Marcina nigdy granic tych nie przekraczał. Gdy atoli teraz srodze w kuchni ucierpiał, gdy ból szarpał jego ciało, a jakiś ciężki żal uciskał duszę, wybiegł za drzwi i począł szybko biedz prosto przed siebie, wydając rozgłośnie krzyki. Tak uchodzi płochliwe zwierzę, gdy je ugodził dotkliwy pocisk.

Chłopiec wpadł w najodleglejszą okolice ogrodu, przebiegł wspaniałą szpaler grabowy, dostał się w aleję wysadzaną kasztanami, wreszcie dotarł do pięknej altany obrosłej dzikiem winem i tutaj usiadł na ziemi pod marmurowym stolikiem. Piękno altany wcale go nie zajmowało. Oparł ręce na kolanach, a na rękach — głowę, oczyma bezdusznie patrzył przed siebie w dal. To piękne dziecko, z wyrazem boleści na licu, podobne było do jakiej mitologicznej statuy, służącej ku przyozdobieniu ogrodu.

Była to właśnie samotna altana, której nikt nie odwiedzał, altana ta sama, gdzie nieboszczyk hrabia miewał miło-

sne schadzki z panną Julią, gdzie prawdopodobny ojciec Majcherka i niewątpliwa matka, upojeni niegdys rozkoszą, przysięgali sobie miłość i byli tu znacznie szczęśliwsi, aniżeli ich syn, rezultat miłości przez świat przekłetej. O, jakże szczęście ludzi dużo nieraz kosztuje drugich!

Chłopiec powoli się uspokoił, ostatnie jęki i szlochy, które wydawał, już bez łez były. Altana była przeslicznem zaciszem. Z wierzchu oblewały ją szczerze promienie słońca, sprawiając mieniący się połysk zieleni; wewnątrz zaś pannaowała tu — cisza, chłód, powaga, jakby to był przybytek kojenia ludzkich boleści. Czasem, dołem po nad ziemią lecąc, zapędzały się do altany dwa ptaszki, wpadały tutaj, poświętały i uchodziły, goniąc dalej; czasem z gęstego sklepienia oberwał się chrabąszcz, spadł w znak na ziemię i, grzebiąc nogami, usiłował powstać.

Chłopiec, obrócony twarzą ku wejściu do altany, zasnął.

Pani hrabina z Pałek o tej porze zwykle odbywała przechadzkę. Szpaler grabowy stanowił najbardziej ulubione miejsce jej spaceru; stąd zapuszczała się ona także i w aleję kasztanową; ale dochodziła tylko do altany; następnie zwracała się, krocąc boczną drożyną ku sadzawce lub między urocze, wonne klomby krzewów, po których wiły się roje barwnych motyli.

Dzisiaj los jakoś zdarzył, iż hrabina postanowiła przejść około altany właśnie. Mimowoli rzuciła okiem wewnątrz i wzrok jej padł na bladą, piękną, dwiema rękami podpartą twarzyczkę uspiętego dziecka. Stała jak wryta, bacznie wpatrując się w rysy Majcherka. Poważne jej, prawie majestatyczne rysy przybrały jakiś wyraz zgrozy i przerażenia; wnet znowu na twarzy błysnął jakby rumieniec gniewu, dumy czy oburzenia. W tej chwili hrabina także podobną była do pięknego posągu — może Hery lub Ateny. Chociaż wielka pani widocznie była wzruszoną niezmiernie; jednak żadnym wykrzykiem nie śmiała przerwać tej uroczystej, na-

kazującej się szanować ciszy. Dziecię też było tak spokojne, taką wielką boleść życia miało wypisaną na licu i na czole, że budzić je zdawało się być wielkim grzechem. Usta hrabiny przybrały z kolei wyraz pogardy, oszpeciły tym wyrazem pogodne oblicze i wyszeptaly:

— Tak, to ona, ona!...

Nawiasem mówiąc, Majcherek był wykapanym portretem panny Julii. Pani hrabina nie obudziła jednak dziecka; miała ona ten szlachetny takt w duszy, który nie rządzi się chwilowem uniesieniem, który umie wytrzymać nacisk żądzy zaspokojenia ciekawości i każe człowiekowi baczyć na siebie samego, jeżeli chodzi o kwestye ważne. Tu właśnie szukać należy pierwiastku tak zwanych dystyngowanych uczuć.

Pani Lutowojska zaniepokojona powróciła do swego gabinetu i kazała przyzwać do siebie ogrodnika, obowiązki którego w Pałkach sprawował niemiec, mianowany przez hrabinę Frycem.

— Mój Frycu, powiedz mi, co to za dziecko śpi w altanie położonej przy kasztanowej alei? Rzekła hrabina, usiłując nie zdradzić w głosie najmniejszego wzruszenia.

Ogrodnik znał dobrze Majcherka z kuchni, ale nie przepuszczał nigdy, ażeby chłopiec ten zabiegł prawie aż na sam koniec ogrodu, gdzie nikomu nie dozwalało się nawet przechodzić, z uwagi, iż głównie w tych okolicach pani hrabina lubiła odbywać swoje samotne wędrówki. Kiedy więc Fryc wyraził w języku niemieckim zdziwienie i zakłopotanie, hrabina rzekła tonem wyrzutu:

— Ja myślę, że powinieneś wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w ogrodzie. Idź zaraz i zbring mi o tym chłopcu wiadomości: co on jest za jeden i dlaczego śpi w altanie?... Tu zatrzymała się i podejrzliwie spojrziała w oczy ogrodnikowi, jakby chciała wyczytać jego myśl, czy on przypadkiem nie zna ciężkiej tajemnicy rodziny. Ale Fryc miał dobroduszy wyraz twarzy, na której malowała się niejako zależność

całego organizmu jedynie od procesów wegetacyjnych. Tacy ludzie nie znają tajemnic duszy ani się też nie troszczą o tajemnice tego rodzaju.

— Idź, Frycu, i dowiedz mi się, co to za chłopiec śpi w altanie! Powtórzyła hrabina z pozorną obojętnością. Ale uważniejszemu spostrzegaczowi nie uszłoby szczególne drżenie jej głosu oraz pewien akcent stawiany na urywanych wyrazach, a świadczący, iż wiadomość, dotycząca chłopca, nie była dla niej obojętną.

Fryc wykonał rozkaz sumiennie. Poszedł do altany, zobaczył Majcherka, poznał go, wypędził z ogrodu i powrócił do pałacu z relacją, że chłopiec jest sierotą niewiadomego pochodzenia, że się chowa przy kuchni, że zresztą — chociaż nikt nie wie, skąd się to dziecko wzięło na świecie — to jednak jest pewnem, iż dopóki żył stary kamerdyner Marcin, zajmował się losem malca i uchodził za jego wuja; jednakże po śmierci kamerdynera zgłosiła się rodzina i rozbrała jaki był spadek majątkowy, ale do dziecka nikt się nie chciał przyznać, tak że chłopiec obecnie nie ma nad sobą żadnej opieki, prócz Boskiej.

Ogrodnik odszedł, a hrabina była już teraz prawie zupełnie pewną, że wychowujący się przy kuchni Majcherek jest dziećciem miłosnych stosunków nieboszczyka męża z Julią, którą ona bardzo pogardzała i nienawidziła jej namiętnie.

— Nie ścierpię tego bękarta pod moim bokiem! Mówiła pani Lutowojska do siebie. Ach, jaki podobny do matki! Jak bardzo do niej podobny!.. Ale jak go stąd wyrzucić?... Cóż on zresztą winien? To ona, ona jest podłą, niekczemną!.. Niel!.. Muszę go stąd wyrzucić, bo on nosi na sobie piętno hańby swojej przewrotnej i wszetecznej matki. Dzieci muszą odpowiadać za czyny rodziców!.. Skrupułów nie powinnam mieć żadnych. Wszak ona nie oszczędzała mnie nigdy!

Zadzwoń! wszedł ulubieniec jej kredencierz, którego mianowała zawsze po nazwisku.

— Słuchaj, Miałcki, zbiierz mi natychmiast wszystkie wiadomości o małym chłopcu, który się wychowuje tu we dworze, przy kuchni..: Może ty wiesz co o nim?

— Jasnie Wielmożna pani hrabina mówi zapewne o tym małym Majcherku? Rzekł Miałcki tonem dosyć poufałym, co mu jednak było pozwalane, równie jak zbliżanie się od drzwi do środka gabinetu. O, to niedobry chłopak, Z niego nic nie będzie! Właśnie słyszałem, że dzisiaj kucharz surowo ukarał go różgą za kradzież sera na folwarku. Czegóż się można spodziewać po takim dziecku?... A potem dodał jeszcze:

— Prawda i to, że się nim nikt nie zajmuje. Chłopiec bez ojca, bez matki, żyje pomiędzy psami, jak zwierzę. A szkoda! Piękny dzieciak, jakby nie chłopski.

Hrabina spojrzała badawczo na Miałckiego. Ale kredencierz był to drugi tom ogrodnika.

— Mój kochany Miałcki. Rzekła znowu pani Lutowska tonem zobowiązującym, którego rzadko kiedy w stosunkach ze służbą używała.—Powiadasz więc, że chłopiec jest złodziejem i że go za kradzież często już karano? Zdało się, iż hrabina była zadowolnioną z relacji swego kamerdynera.

— Że często, tego ja, proszę jasnie pani hrabiny, nie mówię; ale wiem, że dziś właśnie otrzymał chłostę za kradzież nocną.

Ludzie szlachetni nie mogą bezkarnie nienawidzieć drugich. I dla siebie samego trzeba mieć powód, aby się nad kimś zemścić. Kamerdyner wyświadczył hrabinie przysługę donosząc o mniemanej kradzieży Majcherka; podawał on jej do ręki powód nienawiści względem syna Julii, powód błahy, a jednak wystarczający, jeżeli się nienawidzić pragnie. Chłopiec nie był już teraz w jej przekonaniu jakąś niewinną ofiarą, bo nienawiść ku niemu dzielali z hrabiną inni jesz-

cze ludzie. Któżby się litował nad złodziejem?... Sprawiało też hrabinie niemałe zadowolenie i to, że syn występnej Julii jest wyrzutkiem społecznym, godnym potomkiem swojej nikczemnej matki. Miałecki nieświadomie nastreczył przytem swojej pani wyborny pretekst usunięcia chłopca od dworu. Hrabina osobiście nigdy się domem nie zajmowała; nie wiedziała wcale, co się dzieje w polu, w stodółach, na folwarku, w kuchni. Miała do tego przecież bardzo liczną służbę. Prawda, że w Pałkach byli także złodzieje, którzy nie zajmowali się kradzieżą serków, lecz gorliwie na różnych punktach ruinowali olbrzymią fortunę. Ale czyż hrabina Lutowojska o tem wiedziała? Pani ta nie domyślała się bynajmniej, aby przy jej pałacu mógł być jeszcze inny jaki złodziej, oprócz Majcherka. W miarę jak dawała folgę uczuciom swoim, twarz jej się ożywiała, pogarda, zwolniona od walki ze sumieniem, napiętnowała lica i spotęgowała uczucie nienawiści dla Julii. Osoba Majcherka najprzód prawie że się w umyśle hrabiny zidentyfikowała z osobą Julii, a ostatecznie, jako przedmiot mściwości, syn się podstawił za matkę.

— To okropne! Powiadasz, że jest złodziejem! I przy tych słowach wielka pani poruszyła się żywo, o mało nie powstała z krzesła. W jej oczach {zaigrała dzikość, zbudziło się uczucie władzy, zemsta oszpeciła szlachetne rysy twarzy:

— Ja tu nie mogę trzymać złodziei, dzieci z podłymi instyktami! Wykrzyknęła hrabina, popadając w afekt. — Trzeba go natychmiast wypędzić!... Rozumiesz Miałecki! Jeżeli można, wypędzić ze wsi, z Pałek! Ja nie chcę na oczy widzieć tego złodzieja!

Opamiętała się jednak, widząc, iż Miałecki miał fizyognomią zadziwioną tym niezwykłym sposobem przemawiania i wzruszeniem swojej pani.

Hrabinie stanęła w myśli znowu postać śpiącego w altanie Majcherka, przedstawiła jej się spokojna, jakby pokorna boleść, którą widziała rozlaną na jego twarzy. Wewnętrzny cichy głos szepnął: „Tacy nie kradną, nie!“

Więc się zwróciła do Miałeckiego i rzekła:

— Nie prawdaż? Tego małego złodzieja należy stąd wyrzucić? Niesprawiedliwe nasze uczucia, ponieważ nie mogą być przez nas samych usprawiedliwione mają, w sobie tę siłę, iż żądają, aby je dla nas inni usprawiedliwili. I tacy Miałeccy są ściśle od tego tylko.

Kamerdyner wcale nie czuł niesprawiedliwości hrabiny względem Majcherka; był to bowiem człowiek zupełnie tępy pod względem moralnym; uderzyło go tylko szczególne zainteresowanie się pani Lutowojskiej kwestyą tak małej wagi. Gdyby hrabina była kategorycznie powiedziała:

— Wyrzucić chłopaka z kuchni! Stałoby się zadość jej woli, bo Miałeczki umiał tylko wiernie spełniać rozkazy i nic więcej. Ale ponieważ go zadziwiało całe zachowanie się hrabiny, przeto rzekł:

— Skoro jasnie wielmożna pani hrabina każe, wyrzuci się go w tej chwili.

Hrabina byłaby wołała, ażeby wierny sługa podzielił jej oburzenie i sam zaproponował wyrzucenie Majcherka z kuchni. Teraz uczuła, iż zbyt długo trwa jej rozmowa z kamerdynerem, dała mu więc znak, aby odszedł.

VII.

WYPĘDZONY.

Miałecki, opuściwszy buduar swej pani, kręcił głową w której uważał, iż ma jakiegoś ćwieka, a nie rozumiał zupełnie jego natury. Że jednak nie był człowiekiem włożonym w przeprowadzanie procesów bardziej skombinowanego rozumowania, zatem poszedł do kuchni. Tutaj przystąpił z blizką do kucharza i tak mu powiedział:

— Dyabli nam tu skądś przynieśli tego chłopaka! Hrabina się dowiedziała, że jest złodziejem i kazała go dziś oddalić ze dworu.

— Oj, to to to! Rzecz Maselko.—Będzie miał szelma naukę na całe życie. Ja mu tu zaraz zapowiem, żeby noga jego nie powstała w tych stronach!

Majcherek, wygnany przez Fryca z ogrodu, powrócił znowu pod ścianę kuchennego zabudowania, gdzie zajął miejsce pomiędzy psami, które, przybrawszy rozmaite pozycje, używały tutaj drzemki. Dziecko ani się spodziewało, że i takie odsiadanie pod ścianą może być wzbronione.

Maselko rozkazał niebawem przyprowadzić chłopca do kuchni, a sam przybrał fiziognomią herolda głoszącego wy-

roki wyższej woli. Trząsł się ze strachu malec, gdy spojrzal na surową twarz kucharza, który przemówił uroczystym stylem:

— Żebyś wiedział, łotrze, raz na zawsze, że nie należy kraść i wyprawiać po nocach rozmaitych łajdactw, więc ci tu zapowiadam z rozkazu pani hrabiny, abys się stąd wynosił. Idź sobie, gdzie chcesz; ale wara od pałacu, kuchni i folwarku! Żeby cię tutaj niczyje oko nie widziało! Bo my tu nie będziemy chowali kryminalistów! Miej to sobie na całe życie za naukę. A teraz, fora ze dwora!... Tylko, słuchajno, ty nicponiu, jeżeli mi się tu kiedy pokażesz, sprawię ci takie basalyki, że ci się prababka przysni i psami każę wyszczuć za bramę!

Całe otoczenie w kuchni podzielało w zupełności mądre poglądy Masełki na rzeczy etyki i wewnętrznie sympatyzowało ze sprawiedliwym wyrokiem. Każdy czuł się w tej chwili lepszym i wyższym od Majcherka. Ideę sprawiedliwości można pojmovać tylko po swojemu.

Z przemowy kucharza chłopiec nie rozumiał bardzo wielu rzeczy, przedewszystkiem tajemnicą dla niego były pojęcia, oznaczone przez pana Masełkę wyrazami: „łajdactwa“ i „kryminaliści.“ Nie rozumiał też dobrze, co to jest „rozkaz pani hrabiny.“ On wiedział tylko, że w pięknym pałacu mieszkają jacyś wielcy ludzie, którzy jeżdżą wspaniałemi karetami, wiedział, że tych ludzi słucha Masełko, Miałecki, Pękalska, Hałastrowicz i inni. Z całej przemowy kucharza zrozumiał jednak tyle, że nie tylko w kuchni, ale i pod ścianą kuchni przebywać mu już teraz niewolno; zrozumiał, że ma wyjść za bramę i iść przed siebie, a to dlatego, iż go w kłombie spotkała dziewczka Magda, jak się zabawiał praską serną i płóciennym woreczkiem. Wszystkie inne zarzuty były dla niego niezrozumiałe, a co jest niezrozumiałe, z tego się tłomaczyć nie można. Otrzymawszy wyrok wygnania, Majcherk cieszył się w duszy, że go przynajmniej Masełko przy sposobności nie kopnął nogą, nie wydarł za uszy, nie uderzył

w kark albo i nie obił różgą. Przecież bez wątpienia kucharz mógł to zrobić!

Chłopcuz dziwno nawet było, że Masełko nie korzystał ze sposobności. Po tak srogich przejściach dnia malec opuścił kuchnię i wyszedł za bramę; do bramy towarzyszył mu jeszcze Bryś, ale potem pies zawrócił na stanowisko swoje pod ścianę.

Podróżnik tego rodzaju co Majcherek idzie prosto przed siebie, gdzie go oczy niosą. Szedł więc drogą od pałacu i doszedł do wsi; przez wieś droga ta sama biegła dalej. Poprzed chatami na pogródkach i na samejże drodze siedziały gromadki brudnych dzieci. Przy je dnej takiej gromadce za trzymał się nasz mały bohater. Dzieci otoczyły właśnie mały dołek, palcami wybrany w ziemi, pluły weń po kolei, dosypywały pyłu, i z takiego jakby ciasta robiły gałki, co miało być niby to naśladowaniem czynności pieczenia chleba. Z początku dzieci owe spoglądały na Majcherka jak na obcego przybysza; ale w kilka minut był on tu już jakby wśród swoich; zapytany, powiedział towarzyszom swe imię, poczem pluł także w dołek i robił gałki z błota. Cała gromadka dzieci nazywała go „Machusiem.“

— Kajże ty Machuś masz swoją chałupę? Pytała najstarsza w towarzystwie dziewczynka Hanka, która była opiekunką i niańką dwuletniego może braciszka Maciusia.

Majcherek podniósł na nią swoje wielkie czarne oczy i ręką pokazał w kierunku pałacu.

— A czyżjes ty? Pytała znowu Hanka, utarłszy braciszкови nos koszuliną i przysiadając się do Majcherka.

Chłopiec spojrział znowu na dziewczynkę, lecz tą razą nic nie odpowiedział, nie miał bowiem wyobrażenia, iż można być czym.

Hanka ze swej strony niezrozumiała tego psychicznego stanu i zaczęła nauczać Majcherka, jak się odpowiada na takie pytanie.

— Widzisz, Machusiu. Mówiła dziewczynka. Ja się pytam, jak wołają pani matka na twego tatusia, to mi powiedz: Szymek, czy Wicek, Ignac?...

Majcherek i teraz niewiele z tego zrozumiał, ruszył ramiionami, kiwnął główką. Z dziećmi bawił się daleko lepiej niż z psami pod ścianą kuchni. Dziecku było wśród dzieci bardzo dobrze.

VIII.

SUMIENIE.

Hrabina po wydaniu wyroku swego na Majcherka była wzruszona i niespokojna. Przed samym obiadem przyszedł do jej gabinetu mały hrabia Zizi w celu używania macierzyńskiego wpływu; wkrótce potem nadeszła także mała hrabianka Mimi. Obie te latorostki wielkiego szczepu Lutowskiich mówiły wyłącznie tylko po francuzku. Wychowaniem hrabianki zajmowała się specjalistka od edukacyi, umyślnie po to sprowadzona z Paryża, 40-to letnia panna Luiza. Hrabia Zizi pozostawał znowu pod pedagogicznym kierunkiem pana Miszla, także z Paryża sprowadzonego specjalisty. Te klasy, do których należy przyszłość danego narodu, mają zawsze edukacją dobrą; czynniki ludzkie z pola schodzące same dopomagają ziszczeniu się praw dziejowych za pomocą złego wychowania dzieci. Jakkolwiek hrabina wdowa była osobiście zącną niewiastą, to jednak zasady, któremi się kierowała w wychowaniu dzieci, nie miały nic wspólnego z Pedagogiką. Nieszczęście bowiem chciało, iż ten bogaty organizm kobiety musiał przedewszystkiem dźwigać posłusznie ciężar stokroć większy, aniżeli materyalna nędza prostego

wyrobnika. Ciężarem owym była hrabska korona męża i książęca mitra rodzicielskiego domu. Sprostac przesądom kilku wieków w danej chwili, przechodzi to już siły kobiety. A nawet, im wyższą jest organizacya psychiczna, tem wyższe poczucie obowiązku, pojętego po swojemu, tem wyższy rodzaj karności i posłuszeństwa dla przebrzmiałej idei, tem energiczniejsza dążność do upadku, to jest — do przemiany. Dziedzicność ma swoje potężne i nieubłagane prawa, zbadanie których jedynie może dostarczyć podstawy do sprawiedliwej oceny wartości żywiołów arystokratycznych. Człowiek nowy powinien być sprawiedliwym dla ludzi dawnych, choć sprawiedliwym surowo. I hrabinie Lutowskijskiej dużo przebaczyć musimy, nie przez przyjaźń, ale przez sprawiedliwość. Dzięki niewzruszoności praw przyrody, arystokracya nasza idzie do upadku z istotnie godnem podziwu mężstwem; ona w purpurze tradycyjnej potęgi umiera, ale się nie poddaje. Zresztą zachowawczość jest właściwością nietylko arystokracji, bo wszelki rodzaj życia, gdy się raz przystosował do starych warunków bytu, zdobył sobie w ciągu długiej pracy z jednej strony sztywność i oporność wobec zmienionych stosunków, z drugiej strony za tę samą cenę nabył dla siebie nieubłagane prawo wcześniejszej lub późniejszej śmierci.

Zizi, pytany przez matkę, czem się zajmował w ciągu dnia, żywo opowiedział, iż czytał zajmującą powiastkę o małym złodzieju, który kradł w domu różne rzeczy i za to surowo go karano.

Hrabina drgnęła, bo i tak już, wypędzony ze dworu Majcherek sierota, ciągle zdawał się spoczywać na dnie jej duszy; powiastka, jakby o nim, opowiedziana przez syna, ugodziła w napięte uczucia i pobudziła do czujności sumienie, którego potencjonalne siły przechodziły, że tak powiem, w stan coraz więcej kinetyczny, to jest — czynny.

Gdybyśmy ze świadomością obserwowali siebie samych, przekonalibyśmy się, że w delikatnej sprawie sumienia zawsze

tym trybem idą rzeczy, a okoliczności pobudzających nie może nigdy zabraknąć; bo przecież sumienie jest rezultatem życia, kształci się ono właśnie wśród warunków naszego otoczenia, a nie gdzieindziej, zawsze więc tam są jego podniety. Sumienie jest tylko nową formą, przemianą ruchu czynności i dążności społecznych na ruch osobniczy. Ruch ten udziela nam się, ćwiczy wrażliwość naszą korzystną dla gatunku i dąży do wyzwolenia się na zewnątrz, jako dobry społeczny czynnik.

Pani hrabina spojrzała na pana Miszla i zapytała go po angielsku, tak, aby dzieci nie rozumiały o co chodzi, — czy dobrze jest przedwcześnie zaznajamiać małego Zizi z różnymi występkami świata.

Ale francuz zjadł już zęby na wychowaniu paru pokoleń hrabiów, a chociaż mało się rozumiał na teorii wychowania, miał jednak olbrzymie na tem polu doświadczenie, nade wszystko zaś umiał w danej chwili wykręcić się z tego rodzaju kwestyi. Rzekł więc:

— Pani hrabino, jeżeli człowiek ma zostać jednostką cnotliwą, musi poznać także i odwrotną stronę cnoty.

Odpowiedź taka widocznie zadowolniła panią Lutowską, która już teraz milczała. Na milczeniu przeszedł też cały obiad. Poczem towarzystwo domowe się rozeszło. Była już dziewiąta godzina wieczorem, kiedy hrabina udała się do swego gabinetu i poczęła przerzucać rozmaite gazety. Jakoś nie mogła czytać. Podeszła znowu ku podręcznej bibliotece, wyjęła stąd jakieś francuzkie dzieło, traktujące o moralności; ale i tą razą nie szła jej lektura. Ujęła za taśmę dzwonka i pociągnęła trzykrotnie, co było hasłem dla kamerdynera. Miałecki niebawem ukazał się na progu.

— Czy wypędzono tego małego złodzieja z kuchni? Zapytała hrabina głosem prawie smętnym.

— Już go niema, jasnie wielmożna pani hrabino. Odparł kamerdyner.

— Gdzie on się teraz może znajdować? Pytała znowu hrabina, jakby sama do siebie mówiąc.

— Ha, któż to może wiedzieć! Rzeczce Miałecki: Zaszedł gdzie do chłopskiej chałupy, każą mu drzeć pierze, paść gęsi lub bydło, póki nie wyrośnie.

— A jeśli będzie kradł dalej jeszcze?

— To go także wypędzą. Odpowiedział kamerdyner.

— Ludzie najlepiej nauczą rozumu.

Hrabina dała znak Miałeckiemu, aby odszedł. Przez długi czas przechadzała się po pokoju; potem zasiadła do pięknego biurka, zarzuconego mnóstwem błyszczących drobiazgów, narzędzi i materyałów piśmiennych. Tutaj napisała list krótki, wyjęła kopertę i zaadresowała: Do szanownego księdza kanonika Rodowicza w Rzepaczn. Teraz znowu zadzwoniła i znowu wszedł kamerdyner.

— Jutro wyslesz mi ten list przez konnego posłańca do Rzepaczn na plebanię. Mówiła hrabina powoli, myśląc o czem innym.

— Rozumiem, jasnie wielmożna pani hrabino! Odparł Miałecki, biorąc w rękę list położony na stole i z prawdziwie lokajską gracyą cofając się jak rak ku drzwiom tyłem.

Możesz odejść! Brzmiał nowy rozkaz.

Hrabina była ciągle smutna i zamysłona, ciągle to siadała, to się znowu przechadzała. Przystąpiła do okna i spojrzała w ogród. Noc była strasznie ciemna; niebo się zachmurzyło, w stronie alei kasztanowej mignęła błyskawica, przy jej świetle wydało się hrabinie, iż ujrzała altanę, a w niej małego chłopca, uspięnego pod marmurowym stołem.

— To być nie może! Szepnęła cicho i spojrzała na wspaniały staroświecki zegar, istne arcydzieło. Było już wpół do dwunastej. Jeszcze raz trwożliwie spojrzała w ogród, właśnie i teraz błysnęło...

— A jeśli on niema się gdzie przespać? Wołało wzburzone sumienie. Hrabinie uderzyło gwałtownie serce, bo nagle huk grzmotu się rozległ, a deszcz począł siec szyby okien.

Przyłożyła rękę do głowy, zbliżyła się do dzwonka i tą razą dwakroć pociągnęła za taśmę. Otwarły się boczne drzwi i przez nie weszła poufnica hrabiny Marta, stara panna.

— Marto, każ pozamykać okiennice i przyjdź do mnie! Powiedziała hrabina głosem, zdradzającym wewnętrzne jakieś zgnębienie. Rozkazy pani Lutowskiej spełniano w Pałkach natychmiast; było przecież tak dużo służby.

Marta powróciła.

— Powiedz mi, moja Marto. Rzekła hrabina. Czyś kiedy pozostawała bez dachu w nocy i na słońcu?

Marta spojrzała na swą panią ze zdziwieniem, uważnie i rzekła:

— Byłam raz, pani hrabino, w młodych latach. Powracałam wtedy z rodzicami nocą na bryczce z zabawy, a nie mieliśmy parasola; przemokłam do suchej nitki. Ale byłam wówczas młodą, w młodości nie czuje się dotkliwie takich złych przygód.

— To prawda, młodość może wiele przenieść! Mówiła hrabina, wpatrując się w jeden punkt na ścianie. Poczem dodała:

— Przyzwij Henrykę, niech mię rozbierze do łóżka; ty zaś otwórz drzwi od twego pokoju, mogę cię bowiem potrzebować.

Marta używała w Pałkach jakby łaskawego chleba. Była to najstarsza służąca we dworze, która hrabinie Lutowskiej dostała się od księżnej matki wraz z wyprawą. Rozmaitych tajemnic domu zapewne ona i dosyć wiedziała, nie raz bowiem widziała panią swoją gorzkie łzy roniącą za życia hrabiego Alberta; ją także zabrała ze sobą hrabina, kiedy koniecznością było opuścić na czas jakiś męża. Jednakże to pewna, iż ciernie własnej duszy hrabina chowała w sobie i nie powierzała ich nikomu, tembardziej służącym. Bliższe prawa do poufności, do zwierzeń, do udzielania rady w wątpliwych przypadkach miał tylko jeden jedyny ksiądz Rodowicz, kanonik z Rzepaczni, były nauczyciel nieboszczyka hrabiego,

a obecnie spowiednik i wysoko ceniony przyjaciel hrabiny wdowy.

Dziwnie przykrą i niespokojną noc miała pani Lutowojska; grzmot nieustannie huczał, szumiał wiatr, ulewa wrzała; słychać było potoki wody, jak pluszcząc spadały z dachu. Hrabina wreszcie zasnęła, utrudzona czuwaniem oraz niepokojem, i miała szczególne marzenie senne. Śniło jej się oto, iż jechała w karecie z nieboszczykiem mężem do kościoła; na przodzie siedziała panna Julia i trzymała na kolanach koszyczek, nakryty białą chustką, obok Julii zaś siedziała mamka maleńkiego hrabiego Zizi, piastując go ułożonego w miękkich puchach poduszek. Zajechali przed kościół i wszyscy weszli do świątyni, tylko Julia pozostała za progiem. Ksiądz Rodowicz chrzczył małego hrabiczka; potem wyszedł z kościoła, a gdy powrócił, niósł w rękach ów koszyk, który miała przy sobie Julia. Nad koszykiem powtórzył te same ceremonie, jakie miały miejsce podczas chrztu hrabiego Zizi; poczem oddał koszyk jej, hrabinie do rąk. Gdy odwinęła białą chustkę, ujrzała w głębi koszyka znaną sobie z altany, spokojną twarz uśpionego dziecka — Majcherka. „To mój syn!“ Zawołał hrabia Albert. Jakby na krzyk ten zbudziła się przerażona hrabina i zdało jej się, że echo owego głosu brzmiało jeszcze w sypialni.

IX.

KSIĄDZ KANONIK.

Nazajutrz około godziny drugiej po południu Miałecki oznajmił hrabinie księdza Rodowicza.

Hrabina była niezmiernie blada i znużona. Ludzkość dąży do tego, aby organizm człowieka drogo opłacał ruchy sumienia. Kamerdyner odebrał polecenie, aby kanonika wprowadził go do gabinetu hrabiny.

Ksiądz Rodowicz liczył przeszło pięćdziesiąt lat życia; był to mężczyzna wysoki, prosty jak świeca; rysy twarzy miał szlachetne, wyraziste, ale surowe; czoło szerokie, piękne; oczy ciemne, przenikliwe i pełne jeszcze ognia. W całym ułożeniu Rodowicza znać było prostotę wykwintną, zdradzającą obszerną znajomość świata ludzkiego, a sprawiającą, że człowiek jest zawsze sobą. Ksiądz kanonik z Rzepacznicy nie należał atoli do rzędu układnych, słodko uśmiechających się jezuitów, jakich można zawsze spotkać w arystokratycznych pałacach, zwłaszcza około wielkich dam, któremi ludzie ci, uzurpujący sobie nazwę sług bożych, umieją rządzić za pomocą sztuk rozmaitych. Rodowicz przypominał z charakteru stoików; była to dusza twarda i energiczna, zapewne

kiedys gorąca i namiętna; ale cała ta siła zwróciła się w kierunku samoudoskonalenia i miłości nagiej prawdy. W miarę jak religijne uczucia ludzi doznają koniecznego przekształcenia, a formalizm podstawią się za rzetelną szczerłość, zmienia się charakter sług Bożych. I dzisiaj — być może — trudno byłoby znaleźć duchownego z siłą charakteru i inteligencją Rodowicza. Człowiek ten miał bardzo obszerne naukowe wykształcenie. Właśnie co tylko ukończył był medycynę w Krakowskim uniwersytecie, kiedy mu zaproponowano stanowisko nauczyciela nauk przyrodniczych przy młodemu hrabi Albercie Lutowskiemu. Warunki przyjął i w ciągu lat trzech wywiązał się ze swego zadania, jak mógł najlepiej. Ojciec Alberta wysoko cenił wielkie zdolności i moralne przymioty Rodowicza, chciał go nawet niezwykle szczerze wynagrodzić za pracę podjętą nad wykształceniem jedyne go syna; ale nauczyciel nie przyjął nic nad to, co mu się należało podług zobowiązania. Dlaczego Rodowicz później zwrócił się do Teologii, tego nikt nie wie. Nie śmiemy uwłaczać pamięci dzielnego człowieka, jakoby zawód kapłański wybrał sobie bez przekonania; nie chcemy wierzyć głuchej plotce, że pomiędzy Rodowiczem a hrabianką Lutowską, siostrą Alberta zawiązał się stosunek miłosny, który — naturalnie — żadną miarą nie mógł być urzeczywistniony jako małżeństwo. Zresztą, kto wie; miłość podobno hart stali na miękkość gliny przerabia. Na pewno tylko wiemy, że hrabianka Lutowska wyszła za księcia Zbrojomirskiego, podobnie jak księżniczka Zbrojomirska została znowu żoną Alberta Lutowskiego.

Ksiądz kanonik, wszedłszy do gabinetu hrabiny, skłonił się lekko, zajął wskazane sobie miejsce i tak przemówił:

— Odebrałem od pani wezwanie przybycia w interesie niecierpiącym zwłoki, zatem przybyłem. O cóż chodzi?

— Moje sumienie i rozum potrzebują twój pomocy, księżo kanoniku. Rzekła hrabina.

— Mimo dobrych chęci, człowiek niezawsze jest w sta-

nie oddania przysługi drugiemu; ale niesienie pomocy, gdzie jej potrzeba, stanowi powszechny obowiązek człowieka. Jakiegoż rodzaju ma być przysługa, której pani hrabina żąda odemnie? Mówił poważnie Rodowicz.

— Znasz dobrze, księże kanoniku, zajścia przykre, które miały miejsce pomiędzy mną a moim nieboszczykiem mężem w rok już prawie po naszym ślubie. Rozpoczęła hrabina. Wcześniej poznałam, iż małżeństwo nasze było tylko aktem, na mocy którego nie miałam żadnego prawa do osobistego szczęścia. Albert nie kochał mię wcale; z początku oszczędzał mi przynajmniej okropnych scen, które później gorzko opłakiwać musiałam. Starłam się nie robić nigdy mężowi wyrzutów, bo cóż on był winien, że mię nie kochał.. Jednak nie mogłam znieść tego, aby mieć ciągle na oczach kobietę, która tak łatwo zdradziła moje zaufanie i przyjaźń. Mówię o Julii. Powtarzam ci tu, księże kanoniku, sprawy, które znasz dobrze; ale obecne położenie rzeczy wymaga, abyś sobie utworzył pojęcie o stanie mojej duszy w tej chwili. Postanowiłam rozmówić się z Albertem stanowczo. Byłam już wtedy matką i tem bardziej cierpiałam, że mąż lekko traktował zarówno moje macierzyńskie uczucie, jak i swój ojcowski obowiązek. Zażądałam bezzwłocznego wyjazdu Julii z naszego domu. Wówczas to poznałam całą gorycz życia!.. Albert nie tylko nie okazał mi najmniejszej względności, ale okrył szyderstwem i śmiesznością. Zagroziłam mu przyzwaniem na pomoc starszych członków obu naszych rodzin, zabranie syna i żądaniem natychmiast rozwodu. Nie był to zły, ale słaby człowiek. Wpływ moich i jego rodziców, zapewne i położenie moje sprawiły, iż ustąpił. Julia opuściła Pałki. Ale odtąd nie było mi lżej na świecie. Albert wkrótce potem wyjechał za granicę i ku powszechnemu oburzeniu połączył się znowu z Julią. Sprawa ta stała się aż za zbyt rozgłośną. Rodzice nasi raz jeszcze wpłynęli na upozorowanie przynajmniej małżeńskich stosunków; usłuchałam ich woli, byłam bardzo cierpliwa. Albert powrócił do Pałek;

mówiono, że go Julia zdradziła. Był on już wtedy chory, a charakter jego zmienił się do niepoznania. Musiałam codziennie znosić zły humor, opryskliwość, gwałtowność; nawet brutalstwo i tyranją. Zachorowałam, i rodzicie wywieźli mnie w ciepły klimat. Albert pozostał w domu sam jeden. Kiedy wróciłam po roku niebytności, mąż był już dla mnie lepszy, ale choroba jego dojrzewała, a z każdym dniem wzmagał się upadek na siłach. Umarł w rok po przyjsciu na świat córki. Nie wiedziałam, że oprócz dzieci moich, pozostało jeszcze dziecko Julii, które tu w Pałkach wychowywało się pod moim bokiem, tu, gdzie matka jego oddawała się niegodziwym stosunkom miłosnym z hrabią Albertem.

— Czy pani hrabina jesteś tego pewną? Przerwał ksiądz Rodowicz.

— Jeżeli potrzeba świadectwa bezwarunkowej pewności, tego nie posiadam wprawdzie, ale poznałam w dziecku rysy Julii jak najwyraźniej. Jest to chłopiec, mogący mieć najwyżej lat ośm... O rok właśnie młodszy od mojego syna... Wszystko mi mówi, że to jej dziecko!... Mówiła hrabina z widocznym wzruszeniem.

— A cóż się z tem dzieckiem dzieje? Spytał ksiądz poważnie, przyglądając się bacznie hrabinie, jakby chciał zajrzeć w jej duszę.

— Wychowywał się w kuchni. Odrzekła hrabina, pomieszana przenikliwym wzrokiem Rodowicza. Służący powiadają, że to zły chłopiec, że się dopuszczał kradzieży i że go za to karano...

— A cóż na to pani hrabina? Zapytał z przyciskiem kanonik.

Hrabina uczuła jak najwyraźniej, że głos księdza był dalszym ciągiem głosu, który słyszała we własnem sumieniu, a któremu nie chciała uleż. Najprzód spuściła oczy; ale wnet podniosła głowę i, usiłując zachować godność, rzekła stanowczo:

— Kazałam go wypędzić z domu, aby nie był dla mnie ciąglem przypomnieniem smutnej przeszłości.

— Czyś go pani oddała komu w opiekę? Zapytał Rodowicz z naleganiem i nadając surowy ton swoim słowom.

— Niel... Odpowiedziała hrabina głosem zaledwie dającym się słyszeć.

Ksiądz się zmarszczył, a twarz jego przybrała wyraz ostrej surowości, której żadne względy świata nie zdołają ubłagać. Gdyby niecielesne ideje praw ludzkości mogły przybrać kształty człowieka, musiałyby być podobne do Rodowicza. Spojrzał on z góry na zbladłą hrabinę i wołał raczej, niż mówił, głosem podniesionym:

— Więc po cóż mię pani wzywasz?... Chcesz zapewne abym w imieniu Boga dopomógł ci wypędzić nieszczęśliwe sieroty, pozbawione rodziny, kawałka chleba i dachu!... Ojciec i matka porzucili własne dziecko, rozpoczęli szczęśliwie dzieło hańby; dokończenie tego dzieła bierzesz pani w swoje ręce i wzywasz pomocy księdza, aby ci boskiej udzielił sankcyi! Chcesz może, abym podzielał z tobą niegodne uczucie nienawiści dla kobiety lekkiej; uczucie, jakie ty, niby sprawiedliwa niewiasta i dobra matka, przenosisz na drobną dziecinę, której całą winę stanowi to, iż miała rodziców lekkomyślnych, dbających jedynie o zadosyćuczynienie namiętności!... Zawiodłaś się, pani hrabino! Ja ci wsparcia i pomocy na tem polu udzielić nie mogę. Nie ksiądz, ale człowiek do ciebie przemawia. Po co mię wzywasz? Alboż ci własne sumienie nie wskazało ludzkiego obowiązku?... Chcesz głos jego więc stłumić, i po to mię przyzywasz?...

Wspaniale przedstawiała się pięknie ożywiona postać Rodowicza. Rzekłbyś, ludzkość przekazała mu do obrony i pielęgnowania zasady swoje. Rodowa godność wielkiej damy zmalala, nawet zniknęła zupełnie wobec rzeczywistej godności człowieka, który nie urodził się jednak księciem ani hrabią.

— Cóż mam czynić? Pytała cichym głosem hrabina.

— Co czynić? Powtórzył ksiądz żywo. Pytasz się pani, co czynić i nie znajdujesz na to w twojej duszy odpowiedzi?... To obłudne pytanie posyłacie ciągle do Boga, a gdy wam się uśmiecha czyn szpetny, gdy najniejsza okoliczność zdaje się pozorować czyny niskich uczuć, wtedy zwalacie winę ze siebie, mówiąc: radziliśmy się Boga i on nas natchnął. O, wielcy panowie, przodujący narodowi, wy wszystko poczynacie z Bogiem! Ale nie z tym Bogiem prawdy, nie z Bogiem męczeństwa, istotnego krzyża ludzkiego na ziemi! Pani wiesz, co czynić; ale zapytujesz, co masz czynić?

Hrabinie krew z żył zdawała się upływać, uczuła zimno w całym ciele. Ona, taka można pani, zwykle taka dumna. Słuchała ostrych wyrzutów człowieka małego znaczenia w świecie i nie śmiała mu stawić czoła.

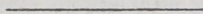
— Pani hrabino! Mówił ksiądz dalej. Jeżeli prawdziwe nieszczęście stoi u okien lub progów twego wspaniałego pałacu, nie pytaj nigdy ludzi ani Boga, co czynić, bo ty sama masz obowiązek wiedzieć, coś wtedy czynić powinna. Pamiętaj, że człowiek jednostka, to drobny pyłek na ziemi, pyłek, który potoki wieków nieustannie zmiatają i niosą w wielki ocean, ludzkością zwany. Tylko dla tej idei żyć się godzi tylko dla niej pracują ludzie; Bóg dla niej pracuje także. Modlić się, to pracować dla ludzi. Jeżeli wielkie cierpienia kamieniem kładą się na pierś twoją, jeżeli ludzie dużo zła ci świadczą, to i wtedy nie pytaj, co czynić należy, bo ty wiesz sama i czujesz, ile masz siły a mocy. Tylko tacy przebaczą, których stać na przebaczenie; tylko ci przenoszą cierpienie, którzy mają siłę po temu; tylko tacy czynią dobrze, których dusza jest bogatą. I nędzary więcej tu dobra dla ludzi zrobić może, niż bogacz rozrzucający garściami złoto.

Ksiądz Rodowicz powstał, mówił jeszcze z powagą:

— Ja tutaj nie jestem wcale potrzebny! Pani hrabina sama wie najlepiej, co czynić powinna. Potem z godnością

skłonił głowę na znak uszanowania i opuścił gabinet hrabiny Lutowojskiej.

Powie kto może, iż ksiądz tego rodzaju jest niepodobieństwem. A jednak takim rzeczywiście był kanonik z Rzepaczni, mniej więcej materyał na nowożytnego Savonarolę.



X

LOSI WISNANO

X.

LOSY WYGNANCA

Majcherek bawił się z dziećmi na drodze do wieczora, aż nareszcie dzieci zaczęły na noc wraz z kurami do chałup powracać.

Tu i owdzie słychać było matki, z progu chat nawołujące:

— Hanka! Hanka!

Lub:

— Szymuś! Szymuś!

Bydło też stadem gnało przez drogę, podnosząc tuman kurzu, a przy każdej chałupie odłączała się od stada jaka para sztuk, i, mieląc ogonami a językiem, zachodziły bydłeta na podwórka cichych zagród. Pastuszkowie nie którzy pieczo, z batami w ręku, przyodziani w zgrzebne płachty, — inni na koniach, oklep i bez uzd jadąc, — kończyli długą pasterską karawanę.

Majcherek literalnie sam został się pod płotem; nieszczęściem to dla niego nie było żadnem, bo on przecież i tak żył zwykle jak człowiek jaskiniowy; ale głód począł mu dotkliwie dokuczać. Głód można przespać. Brak ruchu sprawia

mniejszy ubytek w organizmie, więc mniejszą jest potrzeba wynagrodzenia strat, kosztem czego żyjemy.

Po upalnym dniu sierpniowym błyskawice przebiegały niebo. Czasem o zjawiskach takich ludzie mówią, że to na pogodę; trzeba jednakże być urodzonym wieśniakiem, aby się praktycznie znać na niebieskich znakach. Dzisiaj zapowiadało niebo deszcz i to za niedługą chwilę. Krwawo za lasy wtoczyło się słońce, złocąc i zalewając jaskrawą czerwienią bałwany chmur olbrzymich.

Majcherek nie badał nieba; stał przy płocie naprzeciw chałupy, do której weszła Hanka z Maciusiem i stał wytrwale. Wypadł z podwórka cielak, a zadarłszy ogon, zaczął o zmierzchu brykać po drodze; niedługo za nimi wybiegła Hanka z habinką w rękę i zaczęła swawolnego cielaka ganiać po drodze, wymyślać mu, nazywając to „wściekłym“ to „zacieczonym“, albo „psiaduszą“, Majcherek znalazł się po rycku, zastąpił cielęciu drogę i pomógł Hance wpędzić je na podwórko.

— A idźże Machus do chałupy, bo cię deszczysko na nic zleje! Mówiła Hanka tonem pewnego pedagogicznego zwierchnictwa, jako przywykła do wychowywania brata swego Maciusia.

Majcherek nic na to nie odpowiedział, jeno stanął znowu pod płotem. Deszcz zaczął pokrapiać, więc chłopiec mimowoli zwrócił się w stronę pałacu. Łazł powoli, bo pamiętał, ba, czuł jeszcze ranne plagi, a w uszach brzmiały mu wyraźnie groźby kucharza. Przyszedł pod wjazdową bramę i chciwym wzrokiem spojrzął w stronę kuchni; lecz kuchnia była dla niego owocem zakazanym. Przypomniawszy sobie altanę w kasztanowej alei i pod drzewami zaczął się chyłkiem posuwać w tym kierunku. Było bardzo ciemno; Majcherek nie widział nic przed sobą. Chmury oblekły nocne niebo czarnym całunem; tylko woń kwiatów rozlewała się lubo po ogrodzie. Chłopiec usłyszał jakiś szelest niedaleko od siebie począł nasłuchiwać i wytrzeszczać w ciemności oczy. To

Brylant leżał wyciągnięty jak długi, w przednich łapach trzymał jakąś pierwszą tej nocy zdobycz, a zębami gorliwie nad nią pracował. Brylant był dobrym znajomym dziecka, przyjaciелеm lepszym niż ludzie. Majcherek się też ucieszył, że spotkał dobrego druha i rzekł po cichu:

— Brylant tu!

Pies w odpowiedzi poufale merdnął ogonem, co w psim języku chyba tyle znaczy ile u ludzi podanie ręki. Majcherek usiadł obok Brylanta, pracowicie wgrzającego się w szpik jakiejś wielkiej kości, pogłaskał psa po łbie, a pies znowu mu merdnął ogonem. Zaczął łać deszcz rześisty: Brylant powstał ze swoją kością, powstał także i chłopiec. Pies puścił się kłusem ku kasztanowej alei, Majcherek biegł z nim pospołu, nie dając się prześcignąć. Właśnie wchodzili oba do altany, kiedy łuna błyskawicy rozdarła łono czarnego nieba i zalała ziemię światłością. Majcherek dojrzał przy tem świetle w oddaleniu piękny pałac wśród drzew, zwrócony tylną stroną ku altanie. Nie umiał jeszcze zazdrościć, przeto nie zazdrościł mieszkańcom pałacu, a sam rad był, że się dostał do altany. Brylant zajął się niebawem swoją kością, którą ostatecznie przemógł. Słysząc już tylko było smakowanie i namiętne oblizywanie przez psa kości. Dziecko żebrak i pies żebrak wleźli pod marmurowy stół, na który z zielonego sklepienia altany spadały grube krople deszczowej wody. W altanie odbyło się *rendez-vous* przyjaźni dziecka z psem; dawniej rodzice Majcherka miewali tu schadzki miłosne. Altana w Pałkach była więc dobrem schronieniem dla tych, którzy z różnych powodów ukrywali się przed ludzkim okiem.

Wkrótce atoli Brylant podniósł się z pod stołu, wyrzwał jakoby z altany w celu przekonania się o stanie aury; ulewa zdawała się cichnąć. Pies puścił się ku pałacowi. Przybywszy pod ściany rezydencji hrabiów Lutowojskich, począł wietrzyć całą potęgą genialnego nosa; węch doprowadzał go do głównych podwojów, które stały otworem; wszedł do cie-

mnej sieni, obwąchał wszystkie kąty i nic nie znalazł. Zbliżył się teraz do kredensu, od którego drzwi były niedomknięte, tak że tylko przez szparę dobywała się do sieni strużka światła. Pies podsłuchiwał pod drzwiami i słyszał jedynie chrapanie zaspanego lokaja; podniósł przeto łapę i roztwarł drzwi na tyle, aby się mógł przedostać wewnątrz. W kredensie również nie znalazł nic godniejszego uwagi, parę tylko okruchów mimochodem połknął na prędce. Ale z boku po prawej stronie znajdował się wygodny pokójk Mialeckiego, w tej chwili stojący otworem, bo właśnie hrabina zadzwoniła na kamerdynera, aby mu oddać list do księdza Rodowicza. Z tego pokoiku przedziwnie coś pachniało. Brylant łypnął chytrze okiem i dostrzegł nawpół wypitą szklanekę herbaty, przy niej zaś leżał na talerzyku jeden butersznit jeszcze niedojedzony, a drugi duży i nietknięty. Był to spory kawałek chleba, grubo posmarowany masłem, a z wierzchu nakryty płatem sztufady. Gdyby człowiek posiadał węch psa, doznawałby znacznie więcej rozkoszy gastronomicznych. Brylant zapalił się do butersznita. Przy stole stało krzesło, z którego dopiero co wstał Mialecki, wezwany do gabinetu pani. Pies wskoczył na krzesło, szybko połknął niedojedzony kawałek, a następnie bez zwłoki czasu i wielce umiejętnie objął zębami drugi cały, wonny butersznit; poczem zeskokczył z lekkością kota i właśnie już był w ciemnej sieni, kiedy Mialecki wychodził od hrabiny.

Brylant rwał teraz całym pędem do altany; tutaj wpadł, znowu się położył jak długi obok Majcherka, drzemiącego pod stołem, i rozpoczął wyciągać ze zdobyczy korzyści na rzecz własnego organizmu. Najprzód ciął butersznit tak, że go rozplatał na dwie części. Chłopiec, obudzony przybyciem psa, poczuł zimno, chciał się przytulić do ciepłej skóry swego towarzysza i wyciągnął ku niemu obie ręce; jedną ręką namacał w ciemności właśnie kawałek butersznita, dotykami poczuł chleb powszedni i począł jeść, a pies wcale mu nie zazdrościł. Brylant prędzej spożył swoją połowę, więc zaczął

się w ciemności przyglądać jedzącemu Majcherkowi, który istotnie żarłocznie pożerał butersznit; ale pomimo głodu chłopcę i tak rzucił psu okruszynę, a ten nie pogardził. Owa rzucona okruszynka, tyle cenna dla zgłodniałego Majcherka, była zapewne promykiem czy zarodkiem bezwiednego uczucia wdzięczności, które niekiedy w duszy człowieczej w piękny kwiat się rozrasta. Co się tyczy Brylanta, każdy przyzna, iż jak na psa był to dzielny kolega.

Obaj przyjaciele zabrali się teraz do spoczynku; pies był zadowolony widzieć, iż czuł przy sobie człowieka; ale stokroć szczęśliwszym z obecności psa był dziecko człowiek.

Po burzy, nazajutrz wschód słońca był rozkoszny. W postaci białego płaszcza mgły ziemia zwracała niebu wilgoć. I na altanę także cisnęło słońce swoje złote promienie. Brylant byłby jeszcze spał długo, ale skoro się podniósł Majcherek, to i pies uważał za właściwe opuścić wygrzane na ziemi miejsce noclegu. Wszystko jeszcze w Pałkach spało jak zabite, kiedy chłopiec z psem wychodzili za bramę na drogę. Wspólnie przespana noc, wspólnie zjedzony butersznit stanowiły więcej niż trącenie się szklankami wina dwóch tegich burszów — „prosit!“ Albo: „Daj nam Bóg zdrowie!“ Brylant z Majcherkiem wynieśli się w świat z hrabskiego dworu. Szli obok siebie samym środkiem drogi; pies był w wybornym humorze, wzniosł w górę ogon. Majcherek zatrzymał się pod płotem, naprzeciwko chałupy, gdzie przemieszkiwała Hanka z Maciusiem. Brylant zainteresował sobą psy wiejskie, wypadały do niego z chałup, niby się też to rzucając ze złości; ale ostatecznie, gdy je towarzyszył Majcherek obwąchał do koła, gdy nad każdym takim kundlem pokręcił kilka razy ogonem, wnet cała ta hałastra chroniła się na podwórka, zdaleka tylko ujadając.

Zaczęto wypędzać na paszę bydło, ludzie zaś wychodzili i wyjeżdżali z wozami na żniwo. Nareszcie poczęły się też wysypywać z chałup i dzieci, a droga pokrywała się coraz gęstszym rojem białych koszulin i bielszych od koszul

główek. Wyszła i Hanka z Maciusiem. Zabawa szła w najlepsze. Hanka odbiegała często do chałupy, gdzie w nieobecności matki była gospodynią, a wtedy oddawała Maciusia pod opiekę Majcherkowi, który znowu ze swej strony uważał sobie za święty obowiązek ucierać malcowi nos jak najczęściej. Wyniosła Hanka z chałupy podpłomyk za pazuchą, dała mały kawałeczek Maciusiowi, a Majcherkowi znacznie większy, zapytując przytem:

— Będziesz jadł, Machusiu?

Machus wziął i zajadał pospiesznie, co dostrzegłszy uważny Brylant, przybył czempredzej i dobrze zrobił, bo oberwał swój kąsek.

Nadeszło południe, przechodziło przez drogę dużo gospodarzy, gospodyń, parobków i starszych dziewczuch; ale jakoś nikt ze starszych nie zwrócił uwagi na Majcherka. Tylko swawolne pastuchy przystawali koło niego i koło psa, pytając zaczepliwie:

— A skądżeś ty, raku?

Majcherek przyglądał im się tylko, otworzył usta, i nic na zaczepki nie odpowiadał; wtedy chłopacy chcieli psa od niego odciągnąć, to gwizdając nań, to wabiąc wywoływaniem na chybił trafił rozmaitych psich imion: „Kasztan! Bukiet!“ Sądziło, że utrafią właściwą nazwę.

Brylant na to wszystko nie zwracał uwagi.

Aż dopiero pod sam wieczór zrobił się wielki alarm we wsi całej. Miałecki w wysokim kapeluszu, w białym krawacie, we fraku ze święcącymi guzami, obok niego dwóch lokai, kucharz i para kuchcików, nadto chłopaki z kredensu—wszyscy ci szli od pałacu drogą do wsi; wstępowali oni kolejno do każdej chałupy i zapytywali o małego chłopca, opisując cały jego wygląd.

Uciekały na ten widok dzieci z drogi; stare baby, które nie poszły na żniwo i pozostawały w chatach, głupowato wytrzeszczały oczy, wzruszały ramionami, kiwały głową, nie wiedząc wcale o co chodzi. W naszej gromadce rozbawio-

nej pierwszy Brylant dostrzegł kalwakatę dworską, kroczącą w oddaleniu; nie namyślając się wcale, pies dał czempredzej nura za płot, a wlaższy w kapustę, obserwował zdala, co to będzie. Poznał on dobrze znanych sobie dworaków, sądził prawdopodobnie, że o niego chodzi, miał zaś na sobie tyle grzechów powszednich i śmiertelnych, że o odpuszczeniu ich przez służbę dworską nie mógł nawet marzyć. Majcherek przypomniał sobie różgi w kuchni i zapowiedzenie uroczyste kucharza, więc też na widok służby pałacowej pierwszą jego myślą było drapnąć za Brylantem w kapustę. Ale Hanka, która dziko pierzchnęła do sadu, unosząc Maciusia, zawołała:

— Machuś!... Pójdź do nas!

Instykt towarzyski wziął u Majchereka górę nad starym popędem naśladowania czynności zwierząt, odnoszącym się chyba jeszcze do owych chwil dziejowych, kiedy człowiek chodził krok w krok za mamutem wełnistym i za renami.

Kuchciki zobaczyli łeb Brylanta w kapuście, zaczęli więc na psa wymyślać i, śmiejąc się radośnie, rzucali nań zeschłe bryły błota, przvtem wołali:

— To jucha, mądry, złodziej, widzicie go, przyszedł kraść na wieś, kiedy ludzie wyszli w pole do żniwa!... Oha! Oha!...

Miałeczki uciszył te wybuchy zgrai jednym powiedzeniem:

— Cicho tam! Głupie kpy!

Nareszcie cała ta jakby komisya śledcza przybyła do chaty, gdzie się schronił Majcherek, powołany przez Hanke. Dziewczynka, widząc wchodzących na podwórko ludzi obcych, puściła się pędem w głąb sadu, zawsze unosząc ze sobą Maciusia, który się straszliwie teraz rozbeczał. Majcherek pobiegł za nimi; dojrzał go jeden z kuchcików, poznał i doniósł Miałeczkiemu, który lustrował właśnie wnętrze puste chałupy.

Zaczęto robić oblawę, otoczono sad dokoła; przechadzające się tu spokojnie w chłodzie kury z kogutem narobiły okrutnego wrzasku, chroniąc się na gałęzie drzew i na strzechę chałupy. Hanka spostrzegła, że owi ludzie chcą ich pojmać, więc w ślad za Macusiem poczęła się też drzeć przeraźliwie; Majcherek swoją drogą nie miał nic lepszego do czynienia. Dzieci chciały się wymknąć ze sadu w pole gdzie rósł bób, proso i kartofle; ale polowaniu niebawem położono kres jak tylko kuchcik Antek wziął do niewoli drżącego i zapłakanego Majcherka.

Tą razą Miałeczki pogłaskał przerażonego chłopca, mówiąc:

— Nie bój się, mój mały, nie bój! Los twój pewno się polepszy; sama pani hrabina chce cię zobaczyć i pomyśli o tobie.

Rozumie się, iż Majcherek nie rozumiał ani jednego słowa z tej przemowy. Przysunął się do niego i Masełko, mówiąc w poważnym nastroju:

— Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło! Może z ciebie jeszcze będą ludzie!

Chłopiec uspokoił się cokolwiek, a raczej oswoił z położeniem; niewątpliwie jednak uczucia jego były uczuciami ofiary, która się dostała w ręce zbirów. Szli wszyscy ku pałacowi. Za orszakiem o jakie sto kroków, przystając i namyślając się, szedł Brylant.

Poszukiwanie i odnalezienie Majcherka, jak się łatwo domyślać można, były następstwem nauki danej hrabinie przez księdza Rodowicza.

Kiedy służba tryumfalnie przybyła z jeńcem do pałacu, Miałeczki odprawił natychmiast nieporzebnych już asystentów, wziął chłopca za rękę i wprowadził do swego pokoiku; tutaj chustką od nosa strzepnął sobie pył z butów, szczoteczką przyglądził włosy i oznajmił hrabinie, że odnaleziony Majcherek jest już w pałacu. Hrabina poleciła przedstawić sobie dziecko. Chłopiec był w nieustannej obawie. Kamerdyner

wprowadził go do gabinetu hrabiny, która tą razą zbliżyła się do malca, a głaszcząc go swoją wytworną ręką po nieuczesaney głowie, rzekła łagodnie:

— Czy nie jesteś głodny, chłopczyku?

Majcherek stał zdziwiony i olśniony, nie śmiejąc się poruszyć z miejsca. Zaledwie rzucił okiem na bok, gdy ujrzał w wielkiem zwierciadle własną postać, co go tak przeraziło iż o mało nie upadł na ziemię. Spojrzał przed siebie i znowu siebie samego zobaczył w innem zwierciadle. Przytem posadzka była dla niego zbyt czysto gładka, a niektóre przedmioty tak się błyszczwały i świeciły, że Majcherek musiał zmrużyć, prawie zamknąć oczy. Jakże wielki kontrast stanowił ten biedny chłopiec, brudny i obszarpany, błotem prawie przyrosły z wykwintem, choćby najmniejszego podnóżka w gabinecie pani na Pałkach!

— Mój Miałecki. Rzekła hrabina. Zarządź natychmiast, aby to dziecko nakarmiono, wymyto i przybrano w suknie hrabiego Zizi. Odtąd bowiem chłopczyk ten będzie uważany na równi z moim synem!

Miałecki osłupiał; ale rozkaz brzmiał bardzo wyraźnie i należało go spełnić bez namysłu.

Dla Majcherka rozpoczęła się nowa faza życia. Czy wyszedł dobrze na owem przebrażeniu?... Przyszłość nam to pokaże.



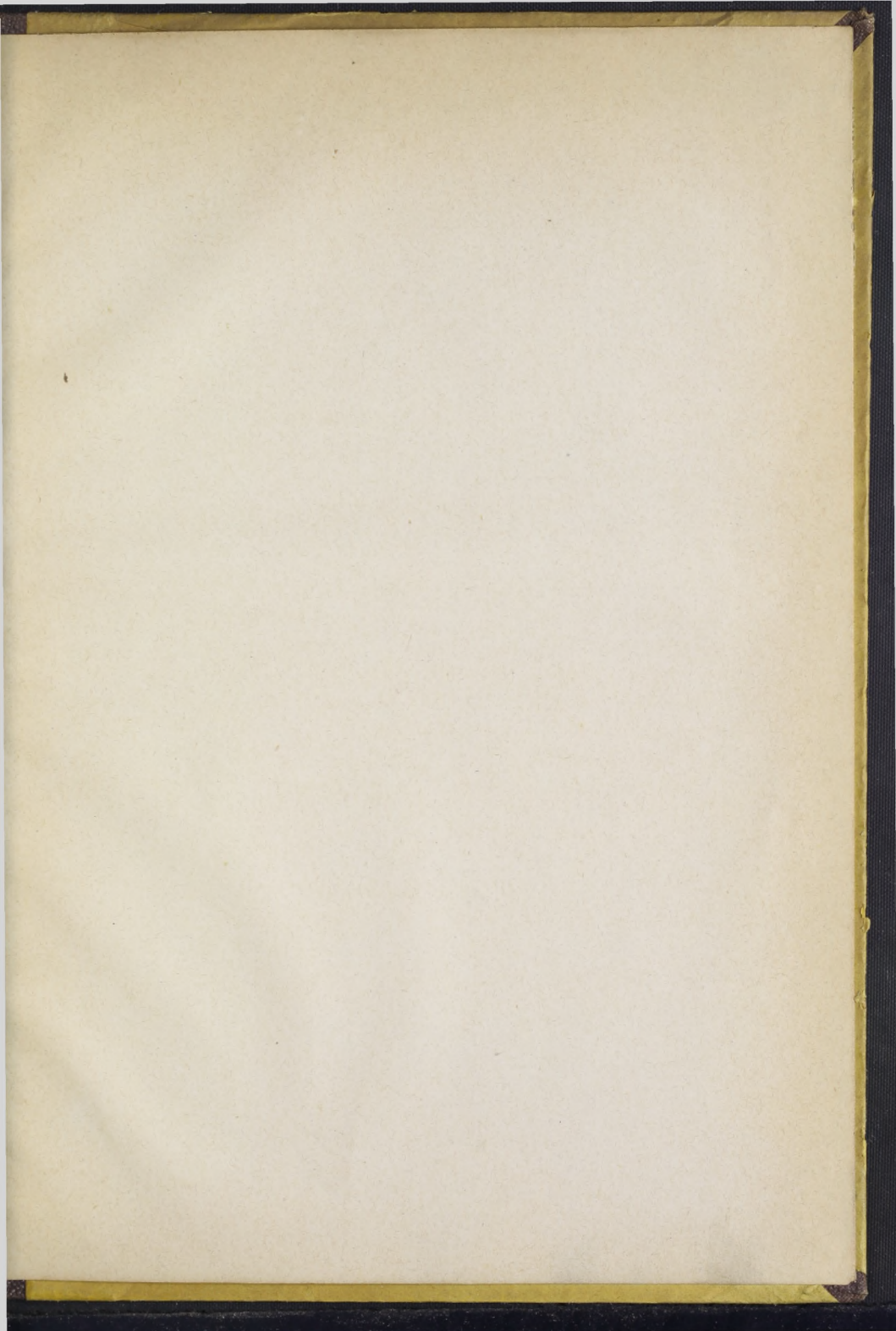
SPIS RZECZY.

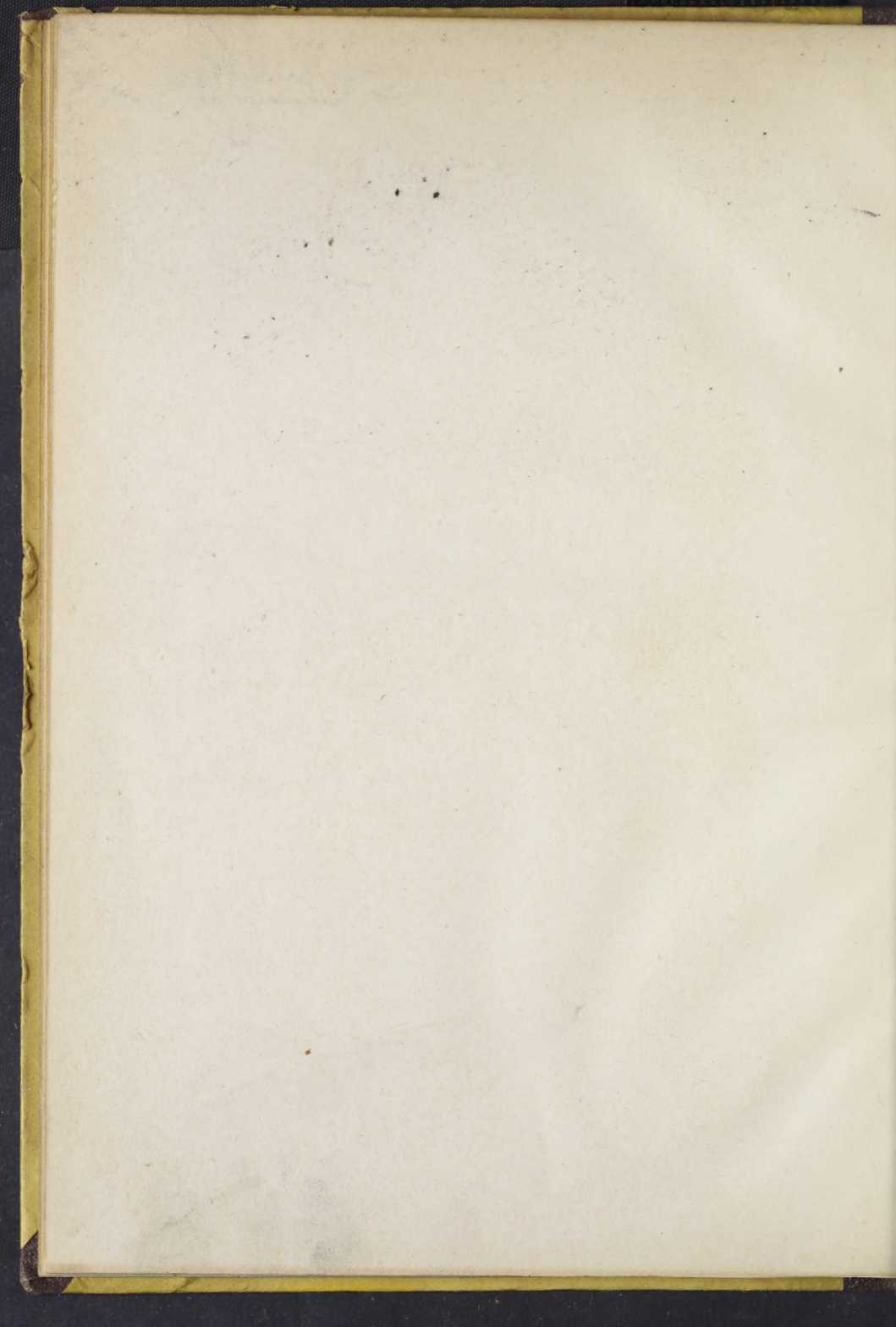
	<i>str.</i>
I. Dosyć niewyraźny rodowód dziecka	1
II. Kuchnia i folwark	8
III. Walka o byt	16
IV. Nazajutrz z rana	24
V. Winowajca	29
VI. Pani hrabina	34
VII. Wypędzony	41
VIII. Sumienie	45
IX. Ksiądz kanonik	51
X. Losy wygnańca	58

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON

THIS TABLE

I.	General History of the City	1
II.	Political History	10
III.	Commercial History	15
IV.	Religious History	20
V.	Education	25
VI.	Public Buildings	30
VII.	Public Works	35
VIII.	Public Institutions	40
IX.	Public Amusements	45
X.	Public Charities	50





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018624050

Najtańsze
ilust



2006115

WĘDKOWIEC

Wychodzi co czwartek, zawiera **dwanaście** stronnic **in folio** drukowanych, ozdobionych licznymi drzeworytami.

Cena w Warszawie rocznie rs. 5.

W Cesarstwie i Królestwie z przesyłką pocztową
rocznie rs. 6.

Dodatek dołączany do każdego numeru arkuszami —
otrzymuje każdy prenumerator za **roczną**
dopłatą **jednego rubla.**

Kompleta od Nowego-Roku począwszy, znajdują się
na składzie.

Wędrowiec drukuje obecnie: „*Odczyty Mickiewicza w Lozannie*“ (po raz pierwszy drukowane); „*Pamiętnik Jul. Słowackiego*“ i powieść **T. T. Jeża** „*Szkice z Poznńskiego*“, z rysunkami *St. Witkiewicza.*

Adres: Redakcja Wędrowca — Warszawa
ul. Żórawia Nr. 11.

*Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe
i zagraniczne.*